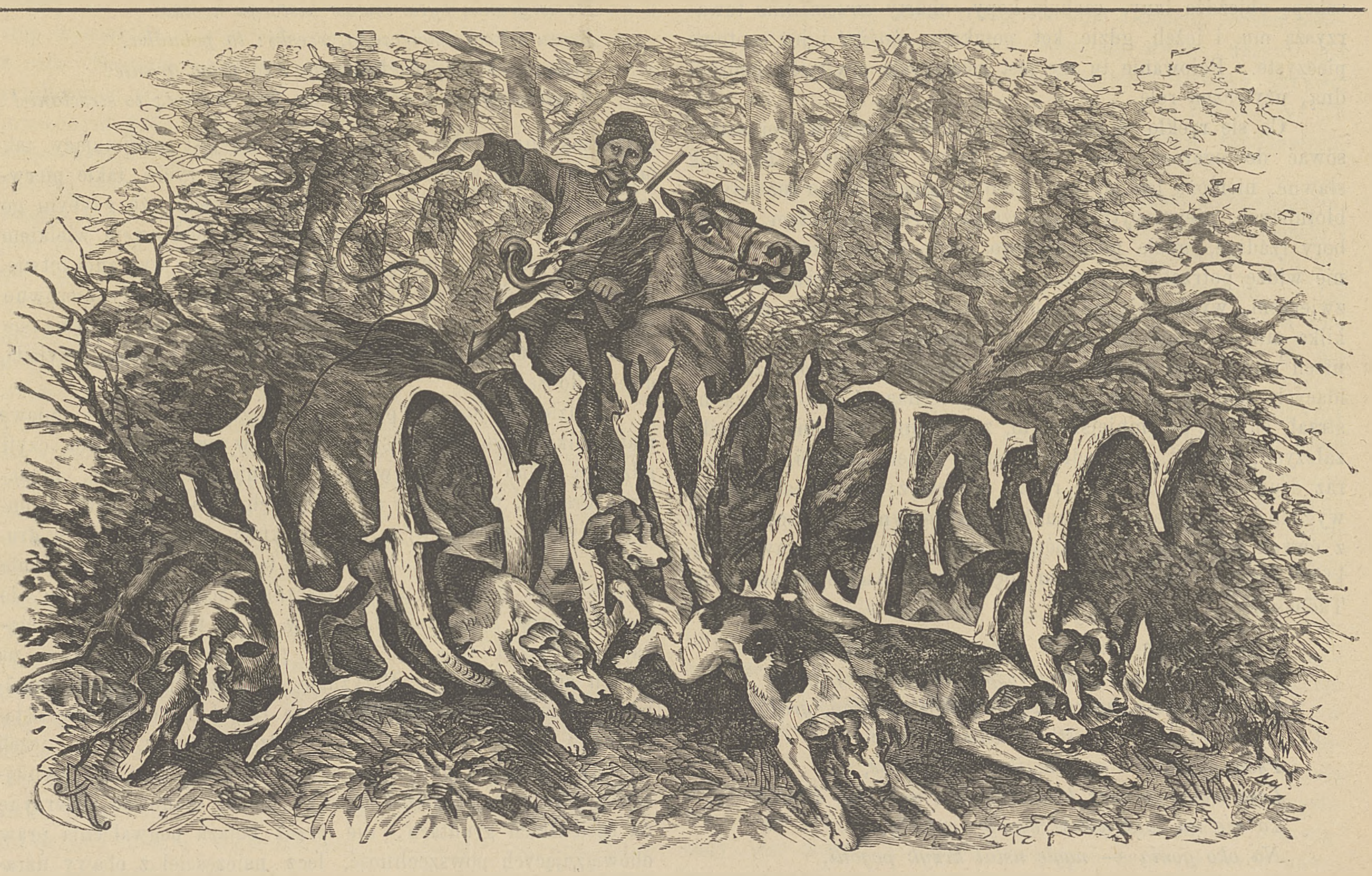
Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

INNE CZASY, INNE MYŚLIWSTWO

PRZEZ

Lucyana Siemieńskiego.

(Przewodnik myśliwca. Poznań 1848).

Inne czasy, inne obyczaje. Łowy staropolskie pozostają na tle oddalenia, i dzisiejsze myśliwstwo w odmiennej pojawia się postaci. Niema już wielkich panów, chowających zgraję strzelców i dojeżdżaczów, trzymilowe sieci i po kilkadziesiąt swór ogarów i tyleż smyczy chartów. Z białozorem, sokołem, jastrzębiem, krogulcem, drzemlikiem nikt już nie poluje. Nieprzejrzane puszcze poszły na maszty i klepki, lub się pokładły na pomost do kolei żelaznych, trzęsawiska i błota przeobrażają się w sianodajne łąki, a o niedostępnych matecznikach chyba tylko z opowiadań starych myśliwców, lub z poetycznych wspomnień dowiedzieć się można. Z postępem cywilizacyi to, co wyłącznie służyło magnatom i bogatym właścicielom ziemskim, przechodzi na własność średniej, mniej zamożnej klasy. Ten i ów nie będąc w stanie chować kosztownego łowczego przyboru, przestaje na dobrej strzelbie i dobrze ułożonym legawcu i może większej używać rozkoszy myśliwskiej, niż gdyby stał jak kołek na jakich pompatycznych łowach, gdzie wszystek zwierz wychodzi tylko na same matadory. Zresztą z rozdrobieniem posiadłości ziemskich, z przetrzebieniem borów, ubyło w Polsce grubego zwierza, dziś nikt sieciami nie obstawi lasu dla kilku sarn, zajęcy i lisów, które innym łatwiejszym sposobem może dostać. Wprawdzie po wielkich borach litewskich są jeszcze łosie, niedźwiedzie, dziki, są zgraje wilków, są nawet możni panowie, coby mogli polować jak Radziwiłł, ale to do wyjątków należy i bynajmniej nie tworzy powszechnego obrazu. Stepowemu myśliwcowi szybki koń i smycz niezawodnych chartów, myśliwcowi lasów i błót dobra dwururka i wyżeł wystarczą, aby i dom zwierzyną opatrzył i użył rozrywki, jaka się z żadną porównać nieda. Kładąc myśliwstwo z charty w tym samym rzędzie, co dawniejsze polowanie z sokołem, mówić o nim nie będę. Na wielkich, stepowych płaszczyznach, gdzie strzelbą trudno jest dostać zwierza, naznaczam właściwe miejsce łowom tego rodzaju, i nie potępiając ich, kładę daleko niżej, niż polowanie z wyżłem. W ostatniem zręczność twoja, bystrość oka, przytomność umysłu, doświadczenie, rywalizują niejako z węchem, przebiegłością, posłuszeństwem, dowcipem twego wyżła, tu sam jesteś działającą osobą, sam przechodzisz przez wszystkie wrażenia zwycięstw i porażek, gdy w pierwszem to jest z chartami, cały tryumf psu się należy, a tyś tylko widzem i podszczuwaczem nierównego i nieszlachetnego boju. Zresztą jestto polowanie małych dzierżawców i ekonomów, skrzętny gospodarz siadłszy na

szkapę objeżdża łany, rachuje kopy, charty *strzemienne* towarzyszą mu, i jeżeli gdzie kot pomknie, *hajże!* i już gotowe pieczyste. Polowanie tu nie jest celem, ale gra tylko podrzędną, użyteczną rolę.

Co się rzekło o chartach, możnaby mniej więcej zastosować do ogarów. Polowanie z ogary, niegdyś u nas tak sławne, niemoże być użytem tylko w lasach bardzo rozległych, błotnistych, nieprzebytych gąszczach. Przeciwnie tam, gdzie bory rzadsze, gdzie gospodarstwo leśne na wyższym stopniu, nie widzę potrzeby używania ogarów, które zapuściwszy się za zwierzem, wypłaszają go z jednych kniei w drugie, często o kilka mil odległe. Kto chce mieć pewną zwierzynę i obfitą, niech unika tego sposobu. Kilkudziesięciu chłopaków ze wsi, idących obławą w porządnym szyku, nagoni ci zwierza na strzał, chybisz go, mniejsza o to, za godzinę, gdy inną kniejkę założysz, ten kot, co uszedł pierwszym razem śmierci, nieujdzie raz drugi. Wprawdzie ten rodzaj łowów z obławą, aczkolwiek wygodny i sprzyjający pomnożeniu zwierzyny, ogołocony jest z owych poetycznych ustępów, z owej muzyki i wojny leśnej, której obraz nieśmiertelnym pędzlem oddał spiewak Pana Tadeusza:

...jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieścia,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,
Ujadają: już nie jestto powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie,
Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły,
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,
Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt, zwierz się broni,
I zapewne kaleczy, śród ogarów grania
Słychać coraz to częściej jęk psiego konania.

Jakich to uczuć nie doznaje myśliwy, kiedy po zapuszczeniu ogarów posłyszy ich głosy i w łajaniu odgaduje, jaki to zwierz, czy mały, czy gruby, czy gończe tropem gonią, czy go już wzięły na oko? Cała złaja bliżej, coraz bliżej, wszystkie ujadają razem... słychać łomot krzaków... zwierz wypadnie, ale zkąd, jak, na kogo? i strzelec

Wygiął się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową,

chciałby w sobie dech zaprzeć, zatrzymać bicie serca..... Zapewne jestto najpoetyczniejsza strona łowów, namiętności w ruch wprawione, jak w grze hazardowne, dają podnietę nadziei, podnoszą ją lub zniżają w miarę, jak bliższy kres rozwiązania dramatu. A jeżeli jeszcze zwycięstwo nad zwierzem ogłosi tryumfalny hymn pana wojskiego, jeżeli zabrzmi śród borów ów *róg jak wicher*, co ożywił

.... knieje i dąbrowy
Jakby psiarnię w nie wpuścił, i rozpoczął łowy,
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeski: to pobudka!
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie!
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie!

natenczas urok całego tego obrazu tak jest przejmujący, tak podniosły, takie wrażenie zostawia na całe życie, takie pierwszeństwo nadaje łowom nad inne rozrywki, że gdybym go poszukał na skali uczuć, znalazłbym tuż pod owem wielkiem uczuciem, jakie przejmuje wojsko i wodzów po wygranej bitwie. I nic w tem dziwnego, łowy i wojna, dwie siostry nierówne wiekiem, jedną rodzice na świat puścili, druga trzyma się jeszcze w domu, półdzikie stworzenie, co kiedy goście przyjadą, ucieka do sadu.

Gdzie są jeszcze puszcze nieprzejrzane, przedpotopowe mateczniki, gdzie staropolski tryb łowów w zachowaniu, czyli gdzie ci wolno bujać po wszystkich kniejach i polach, niepatrząc granicy, nie lękając się leśniczych, tam sobie poluj z gończymi, wypłoszysz zwierza z jednej kniei, dostaniesz go w drugiej o mil kilka lub kilkanaście, i tak dalej i dalej, póki nie dotrzesz do jakiej rzeki, rozgraniczającej narody, lub do morza, pędząc stado zajęcy, wilków, sarn, łosi i dzików, uciekających przed tobą jak przed pożarem suchych traw na łąkach amerykańskich. Przyznaję, że pozwoliłem sobie cokolwiek przesadzić w tym obrazie, a raczej dotarłem do ostatecznych następstw podobnego rodzaju łowów, lubo, jeżeli chcemy być sprawiedliwi, musimy przyznać, że i za dawniejszych czasów najzapaleńsi myśliwi umieli szanować zwierzynę na sąsiedzkich gruntach, nie przez bojaźń pogwałcenia praw obowiązujących powszechność, lecz najczęściej z obawy narażenia się na gniew mocniejszego sąsiada, który oburzony tem zuchwalstwem, mógł był wypaść z czeladzią dworską, psy wystrzelać, a myśliwców rozbroić, a nawet niekiedy i przez kij przesadzić.

Owóż wracając do pierwszego założenia, utrzymuję, że polowanie z ogary aczkolwiek poetyczne i w używaniu od niepamiętnych czasów, musi się skończyć ze zmianą stosunków gospodarskich, z zaprowadzeniem pewnego porządku w lasach, wreszcie z ubytkiem onych, że sprawiedliwie z wieszczem możemy zawołać:

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa ...... siekiera!

Z tego względu nie zapuszczając się w historyczny obraz łowów u nas, z którego nie można się nauczyć sztuki łowczej, postanowiłem skreślić tryb praktykującego się dziś polowania z całym postępem, jaki ta przyjemna sztuka uczyniła w tych częściach Polski, gdzie go urządzono w sposób stosowny do zmian, jakie czas porobił, i do jakich się przyłożył pewien pochód cywilizacyi.

PUSZCZA LEŚNA W ROSSYI i JEJ MIESZKAŃCY

PRZEZ

Albina Kohna.

Pieśń o pułku Igorowym, epos rossyjskie przedstawia las pierwotny w całej swej grozie. S. W. Maximów zapewnia, iż las ów na północy do dnia dzisiejszego, a więc od lat blisko tysiąca wcale się nie zmienił. Wkracza się weń naprzód przez zarośla czyli raczej krzewy wierzbowe, których gałęzie i pnie wiją się po ziemi, lub też przez gąszcz brzozowy. Gdzieniegdzie, mianowicie im bardziej ku południowi tem częściej wynurza się karłowaty modrzew, jeżeli wolno potworną kary-

katurę tak nazwać, cały bowiem modrzew dosięga zaledwo 9 stóp wysokości, a przecięcie jego u korzeni wynosi najwyżej 8 cali. Nasienie przyniósł w to pustkowie wicher lub ptak przelotny, a smutna postać drzew wskazuje, że są one tu nieproszonym gościem ledwo wegetującym. Również nędzną jest smereczyna. Wprawdzie rozszerza się ona, mało wymagając dobroci ziemi i odpowiedniego klimatu i płytko pod ziemią snując swe korzenie, najdalej ku północy, jednak widocznem jest, że jej tu niedogodnie. Siwy mech pokrywający jej korzenie, nadaje temu drzewu postać sędziwą, jakby zaczarowaną. Świerk daje na wysokiej północy początek oceanowi leśnemu, który dziś jeszcze rozlega się na obszarach wielu gubernii, a niegdyś jako olbrzymia, niedostępna massa leśna jednem pasmem aż do Karpat się ciągnął. Dziś jeszcze sięga, z małemi przerwami, aż do źródeł Uralu. Lasy szpilkowe, czyli jak je Rossyanin nazywa drzewo czerwone, rozpoczynają walkę z nieznośnymi mrozami, które w owej wiecznie zlodowaciałej puszczy panują. Charakterystycznem jest w tych lasach przechodowych, które w Rossyi europejskiej tajbolami, w zachodniej Syberyi urmanami, w wschodniej Syberyi tajgami bywają nazywane, że u brzegów ich nie ma wcale krzewów i trawy. — Wyniosłością swoją przygniatają ducha człowieka, śród burzy przejmują grozą i trwogą, a podczas pogodnego i spokojnego powietrza pobudzają do marzeń. Lud rossyjski nie bezmyślnie nazwał ów las pierwotny „lasem spiącym, półcień rozlegający się za dnia, czarna ciemność ścieląca się śród nocy, usprawiedliwiają ową nazwę tem bardziej, że nawet w najjaśniejszym dniu pokrywają one horyzont jakoby ciemno-niebieską nieprzejrzystą chmurą. Wnet wszakże pojawia się podszycie, które z starodrzewem stacza walkę o byt. Zdawałoby się, że owa młodzież w tej nierównej walce musi uledz, zwłaszcza, że starodrzew stanowi gęstą ścianę; wszelako jego majestatyczna powaga jest złudną, ma on w sobie zaród śmierci — zgnilizny, a lada burza łamie go jak słabą trzcinę. Drzewa w ostępach leśnych Rossyi rozwijają nader powolnie swoją objętość, tylko upały nader krótkiej pory letniej rodzą świeże pędy, a one rozwijają się ze szkodą miąższości drzewa, i z tego powodu pnie są tak kruche, że lada pochylenie, lada uderzenie łamie je. Maximow znalazł w przerwie lasu sosnowego brzezinę, w której suche gałęzie niby kości duchów nocnych, pokryte szmatami białego okrycia, wznosiły się ku bezbarwnemu niebu, jakoby użalały się i o wybawienie błagały. Oto obraz drzemiącego lasu pierwotnego czyli północnej archangielskiej tajboli, która już przy wybrzeżach rzek Kutoi, Pinegi i Iszmy wszystkie owe zarysy wykazuje, jakie lud rossyjski osobnem mianem cechuje. Sosna w jakiejkolwiek ziemi zapuszczająca korzenie, najdalej sięga ku północy, tworzy ona 43 — 45% wszelkich innych rodzajów drzew (świerk 26 — 28, brzoza 15 — 18, sybirski cedr 2 — 3%). Na odpowiednim gruncie dosięga aż do gałęzi wysokości 42 stóp, a u szczytu grubości 12—17½ cali. Nie jest też ona wybredną, obojętne jest dla niej, czy stoi w bagnie, na piaskach, na urodzajnej gliniastej ziemi, lub też na opoce, byle tylko zapuściła głęboko w ziemię bez względu na jej właściwość swe korzenie, stoi silnie i rozrasta się. Tylko światła potrzebuje, i ku niemu się chyli. Jedno drzewo oddalone od drugiego na pewnej oznaczonej przestrzeni o tyle, by mu szkody nie wyrządzać i nie odbierać potrzebnego światła, z tego powodu nie tworzy sośnina tak niedostępnego gąszczu, jak smereczyna. W pobliżu gór Uralu tworzy sośnina zawsze przepyszny park, i zdaje się na pozór, jakoby drzewa ręką ludzką były sadzone, a ziemia starannie oczyszczaną. Rozrost sosen posiada tu wielce przyjazne warunki w wybornej ziemi i odpowiednim klimacie. Nisko położone wilgotne okolice nie tyle sprzyjają sośnie, drzewo jest tam zawsze blade i wnet po ścięciu sinieje. Drzewo krzywe, słoje szerokie jakoteż *cambium*, a brak żywicy uderzający. To jest sosna bagnista, drzewo północnych lasów szpilkowych, które burza powala.

Z bagien podniosła się sosna ku miejscom wynioślejszym, zapuściła korzenie w suchszą ziemię, najczęściej w piasek, i taki drzewostan nazywa Rossyanin właściwie lasem czyli borem, złożonym w części z smereczyny. Nazywa on ów las w tundrze poprostu sosną, na wierzchołkach gór Kondą, a owe szczyty kondowylami. Tu sosna jest żywiczną, drzewo jej ma barwę czerwonawą, i staje się, gdy wyschnie, tak twardą, że z trudnością daje się siekierą obrobić. U północnej Dźwiny i na wybrzeżach północnego oceanu stoją cerkwie zbudowane z takich sosen już przeszło lat trzysta. Na wyżynach jest rydz *(agaricus deliciosus)* stałym towarzyszem sosny, jest on jędrny i soczysty, a ciecz jego czerwona, jak krew zwierząt. W owych suchych lasach, w których do sosny chętnie inne drzewa szpilkowe, mianowicie jałowiec, się przyłączają, żyje w pobliżu niezmiernej mnogości kamionki, która tu bujnie się rozrasta, osobny rodzaj cietrzewia, zwany cietrzewiem kamionką czyli kosaczem, znacznie większym od zwykłego i jest mięszańcem cietrzewia i głuszca, a więc naszym głuszcem średnim. Ów cietrzew kamionka odziedziczył po głuszcu popęd do życia odosobnionego i niezmierną ostrożność, co wprawdzie utrudnia polowanie na niego, ale też czyni go dla prawdziwego myśliwego tem ponętniejszym. Jak jego obopólni rodzice, przywiązany jest kosacz do swych ojczystych borów, których nawet w zimie nie opuszcza, nie odlatuje, nie zakłada gniazda i zadowala się zagłębieniem w piasku, byle tylko w miejscu wystawionem na promienie słoneczne. Jak zwykły cietrzew i głuszec nie żyje kamionka w parze. Z początkiem wiosny rozpoczynają cietrzewie w lasach zwłaszcza tam, gdzie ogromne, przez wichry obalone sosny leżą, swe igraszki miłośne. Dumnie kroczy kogut z rozpostartym w kształcie wachlarza ogonem i przywabia samice, nim jeszcze brzask dzienny niebo ozłoci. Przytem żywo porusza skrzydłami, wydyma gardziel, a długie, czarne pióra na nim w kurczowem są poruszeniu, rozgorączkowany zalotnik grzebie nieustannie w ziemi i przewraca oczami, okolonemi czerwonemi brodawkami, czem postać jego staje się dziką i przerażającą. Chwila to najodpowiedniejsza dla zręcznego myśliwego, wtedy bowiem cietrzew zapomina o zwykłej swej przezorności, a za kilka minut wraca do przytomności, i staje się jeszcze ostrożniejszym. Szczególnie czujnym jest przewodnikiem stary kogut, który młodzież w koło siebie na ucztę miłośną gromadzi. Jeżeli przypadkiem wpadnie w sidła myśliwego, i żywy z nich jest wyjęty, wypuszcza się go wnet na wolność, w przeciwnym bowiem razie rozprószyłoby się całe stadko. Miejsce w lesie, gdzie cietrzewie miłośne wyprawiają orgije, można łatwo rozpoznać, trawa tam prawie zupełnie zdeptana. W Maju opuszcza samica samca, szuka w gęstym krzaku jałowcowym schronienia, gdzie składa jaja i młode wylęga.

Sośnina ciągnie się na przestrzeni kilkuset wiorst. Jeżeli gdzieniegdzie śród nieodpowiednich warunków nie może się rozszerzyć, to jednak ogromne jej przestrzenie połączone są z sobą wąskiemi pasemkami, tworząc tym sposobem nierozerwaną całość. Rzadko zdarzy się w tej sośninie pojedyńcza brzoza lub krzak jej. Silnego, samoistnego sąsiada nie znosi sosna. Skłonna do osamotnienia, jak każde drzewo szpilkowe, nieprzyjazną jest każdemu z innego rodu, sama zaś gdziekol-

*

wiek rzucona rozrasta się swobodnie i usiłuje sąsiada przygniatać i wyprzeć, a ma potemu silne i zgubne środki, zrzucając bowiem z siebie stare szpilki tak ziemię przysposabia, iż na niej żadna roślina żyć nie może. Szczególnie umarzają twarde, gęsto rozsiane i trudno gnijące szpilki świerkowe, leżące w pobliżu pnia w grubej warstwie, wszelką czynność ziemi. Do tego przyłącza się jeszcze i to, że przyroda obdarzyła drzewa szpilkowe właściwością szybkiego rozrostu i bardzo trwałego i długiego życia. Sosny i świerki dosięgają ogromnej wysokości 132 stóp, a znajdowano okazy, które 300 — sosna nawet 350 — słojów wykazywały. Gdy więc drzewa szpilkowe tak szybko w górę się wznoszą, i tak długą przestrzeń ziemi zajmują, nie dopuszczają przeto rozwoju drzewa liściastego, i zaledwo gdzieniegdzie pozostawiają małą przestrzeń dla brzeziny, również dozwalają rozrastać się po brzegach rzecznych wierzbie (w wszelkich rodzajach), osiczynie i jarzębinie. Drzewa liściaste przeciwnie szukają towarzystwa, choćby nawet nieprzyjaznego, w każdym razie okazują skłonność i usposobienie do życia towarzyskiego.

Jakkolwiek w lasach podobnie jak w wszelkich pojawach życia wydarzają się wyjątki, a nawet są konieczne, to jednak są one w drzewostanie szpilkowym rzadkimi. Tak na przykład wspina się świerk tylko na wielkie i wysokie góry, nie pogardzając nawet gruntem skalistym, i pozostawia jodle, swej wiernej towarzyszce małe kamieniste pagórki. Mimo łączności świerka z jodłą, nie wzdryga się pierwszy przytłumić swojej towarzyszki i przeżyć ją o wiek cały. (Jodła dosięga wysokości tylko 72 stóp a wieku najwyżej 200 lat). Gdziekolwiek w rossyjskim borze znajdujemy smereczynę, czy to na górze lub bagnie, znajdziemy też w pobliżu jej z pewnością jodłę, która szczyt swój jakby olbrzymie gniazdo ptasie pod niebiosa wznosi. Bardzo rzadko znaleść można czysty las jodłowy, a taki las bywa zawsze mały. Takie korzystne dla drzew szpilkowych warunki znajdujemy w lasach sosnowych, gdzie wiele wieków żyjący modrzew trochę miejsca uzyskuje. I on lubi światło, i traci rosnąc w ciasnocie i ciemnocie gałęzie do pewnej wysokości, daje też tak jak sosna bardzo trwałe i twarde drzewo, poszukiwane głównie do budowy okrętów.

Gdzie wszakże sosna i świerk przeważają, pojawia się też bez względu, czy grunt bagnisty lub kamienisty, zewnętrznie niepowabny, rozstrzępiony, ale wewnątrz wyborny cedr sybirski, który niestety rzadko gdzie tworzy cały las. Drzewo to z powodu lekkości bardzo się nadaje do budowy okrętów. Wydaje też cedr owoc, tak zwane orzechy cedrowe (jak wiadomo znaczny artykuł handlowy w Syberyi), który żywi niezliczoną mnogość wiewiórek. Skacząc z drzewa na drzewo wyszukują wiewiórki w cedrach sybirskich i innych drzewach szpilkowych pożywienia. Wiewiórka spada z najwyższego szczytu świerka, siada, podnosi w górę powabnie gęsto porosłą kitkę po nad kształtną główką, rozgryza szybko jak małpa orzechy, wyjmuje ziarnko i świszcze przytem wesoło. W jednej chwili znikając pojawia się na sąsiedniem drzewie, gdzie znowu wykonuje akrobatyczne i zuchwałe skoki. Lubo zdaje się być to zwierzątko niepłochliwe i swobodne, to jednak w istocie jest ono ostrożne jak lis, a małe uszka w ciągłym są ruchu, by pochwycić każdy podejrzany szmer. Również bystro w świat patrzące oczka nieustannie na wszystkie strony rzucają iskry, by wcześnie wypatrzyć niebezpieczeństwo. Pod samem drzewem ujada pies, wiewiórka pochyla główkę w dół, i zdaje się nim tylko być zajętą, a jednak widzi też dobrze myśliwego i skierowaną ku sobie lufę. Nie lęka się szczekania, ale myśliwy i lufa wnet ją do szybkiej ucieczki skłaniają. Jeszcze igra filutka z psem, a myśliwy widzi w niej pewną zdobycz, gdy nagle znika śród gęstych szpilek sąsiedniego świerka. Pies nie tracący z oka zwinnego zwierzątka, bywa bardzo wysoko ceniony. Podczas mrozów są ruchy wiewiórki szczególnie szybkie, a wtedy nawet najwprawniejszy pies straci ją z oka. Gdy wiatr silny, bieży po ziemi, a spostrzegłszy wtedy psa, komiczne wyprawia skoki, ale zawsze wysłuchuje, co się w koło niej dzieje. Wiewiórka ciągnie w drugiej połowie Listopada do lasów świerkowych, igrając przez cały Wrzesień w lasach modrzewiowych, lecz gdy one przestają dostarczać pożywienia, przenosi się do sośniny. Gdy wiewiórka bieży po świerku, jest według wyrażenia myśliwskiego dojrzałą, to jest pokrytą już długim, srebrno-siwym albo ciemno-brunatnym włosem zimowym. Wtedy rozpoczyna się polowanie na nią, trwające tak długo, jak długo ludzie na swych łyżwach śniegowych prześladować ją mogą, jak długo śnieg w lasach leży. Na zimę urządza sobie wiewiórka na najwyższych szczytach drzew gniazdko z słomy i liści, nie waha się jednak zająć w posiadanie stare gniazdo srocze, które wtedy zaopatruje dachem. Podczas deszczu bywa wiewiórka do tego stopnia obmokłą, iż nie może po ziemi biegać, woli przeto w gnieździe siedzić i spać. W takim razie jednak przez mały otworek rozgląda się niekiedy po całej okolicy.

Im dalej ku północy, tem bardziej mięszanymi, różnorodnymi stają się lasy. Z sosen i świerków złożone obszary leśne, *tajgi* i *tajbole*, przemieniają się u brzegów rzek w gaj porosły brzeziną i wierzbą, zmięszanych z osiką, który lud *uremą* nazywa. *Parmy* zaś są to lasy wprawdzie liściaste, w których wszakże przeważa smereczyna. Dalej pojawia się brzezina na mchach, ale jest ona już wskazówką urodzajnego gruntu, przechodu ziemi bagnistej do najurodzajniejszej. W pobliżu osad znajdują się małe gaje i laski, ale jedynie liściaste. Tylko ciemno-zielony jałowiec jest towarzyszem brzozy, której biała kora tylko gdzieniegdzie przez jego gęste gałęzie przeziera. Ale znowu dochodzi się do bagnisk, śród których jakoby wyspy grupy drzew wyłącznie szpilkowych występują, lasy te nazywa lud „kolkami“. Tu wadera zakłada swe gniazdo, tu pomiata młode, a cała ta drapieżna czereda przenosi takie lasy nad inne, nawet nad niedostępne puszcze, jakkolwiek owe żarłoczne i krwi chciwe zwierzęta włóczą się nieustannie, i z tego powodu obdarzyła przyroda na szkodę ludzi i zwierząt silny i niekształtny ich korpus długiemi nogami. Nóg tych używa wilk z taką zręcznością, iż go żaden ogar dosięgnąć nie zdoła. Jednym skokiem wpija się w kark innego zwierzęcia, obala je i zadaje śmiertelne rany. Wilk staje na odludnych ścieżkach leśnych, a ujrzawszy swoją ofiarę, wciąga szpiczastą swą głowę ku korpusowi, szeroko otwiera krwią nabiegłe lampy, najeża włos, podnosi grzbiet w górę, wyje przeraźliwie, kłapie zębami z taką siłą, iż odgłos podobnym się być zdaje do strzału z pistoleta, i rzuca się na przerażone zwierzę. Zresztą wyczekuje pastwy z dziwną cierpliwością, leżąc w trawie lub ukryty za gąszczem, jeżeli go jaka niespodziewanie zkąd spadająca iskra, od powiewu wiatru szeleszczące liście, lub inne jakie zagrażające mu głosy z legowiska nie wypłoszą. Drapieżnym i przezornym jest wilk, ale równie też tchórzliwym, słupieje nieraz z przerażenia.

W owych tak zwanych kolkach ma również pręgowana wiewiórka *(Tamias striata)*, której srebrno-siwy włos naznaczony jest pięciu czarnemi i dwoma białemi pręgami, swe podziemne nory i chodniki. Skacząc swobodnie po gałązkach krzewów, nie przeczuwa, iż żarłoczny rosomak w pobliżu pod nią się skrada. Owe silne, zuchwale śmiałe i prze-

biegłe zwierzę staje się często nawet dla wilka groźnem. — Jeżeli las ustronny, ktory lud „Ujmą“ nazywa, leży na suchym i dosyć urodzajnym gruncie, znajduje w nim myśliwy oprócz wyżej wymienionych zwierząt także sobola, lisa i kunę. Srebrzysty soból, któremu przypadł zaszczyt zdobić purpurę królewską, przenosi puszczę, lis zaś woli kryć się w gąszczach leśnych i w nich mieszkać, opuszcza je tylko wychodząc na żer. W lesie zna lis wszelkie wchody i wychody, ścieżki i drożynki. Jako pustelnik, w odosobnieniu od świata, wychodzi lis z gąszczu z wielką przezornością, zwolna i rozważnie. Każdy jego krok obmyślany, a trop swój zaciera kitą (?). Ostro zakończony nos wietrzy nieustannie na daleką odległość i zwrócony zawsze przeciw wiatrowi, pragnie on bowiem wszystko zbadać, nie dając o sobie wieści, stara się nawet, by woń jego nie dochodziła do innych zwierząt. Gdy sprytnie wymknął się z gąszczu, a jego siwo-zielone ukośne oczy spostrzegły zdobycz, rzuca się śmiało i zręcznie na nią, tak jak poprzednio z udaną niewinnością i bojaźnią wysuwał się z swojej pustelni. Co do przebiegłości żadne inne zwierzę z lisem równać się nie może, umie on nawet po chybionym strzale przypaść do ziemi, udając martwego, a jeżeli myśliwemu przypadkiem się uda najść nań niespodziewanie, wybornie mu się wymyka. Lis też bardzo jest wytrawnym i doświadczonym myśliwym i rybakiem, umie doskonale żywić się ptakami, rybami, zającami nawet. Chrypliwe szczekanie tych zwierząt przerywa w nocy głuchą ciszę ustronnych lasów, oddalonych od mieszkań ludzkich i nieznanych myśliwym.

Rodzina lisia jest bardzo liczna, w handlu więc różne są nazwy futer lisich. Rozróżniają płomienisto-czerwone, żółte z białym puchem, niebieskawe, brunatne z czarnym puchem i siwą plamą na krzyżach, krzyżowane, czarne zmięszane z żółtem albo żółte z krzyżem na grzbiecie, nakoniec czarne lub czarno-brunatne, które są najrzadsze i najdroższe. Skórka czarnego lisa kosztuje często przeszło 300 rubli, gdy płomienisto-czerwoną można dostać za 15 rubli.

Gdzie puszcza rozlega się na równinie obszernej przeciętej wąskimi, długimi pagórkami, tworzy się z nich grzebień leśny zwany u ludu „grzywą“. Na stokach owych pagórków zwieszają się liściaste po większej części lasy. Zdala dają owe lasy grzebieniaste uroczy widok, przejmujący duszę grozą i czcią z powodu imponującego majestatu potęgi przyrody. Patrząc na taki krajobraz z góry, uznaje się słuszność nazwy jego „szyr“ t. j. daleko rozlegającego się widoku. Przestrzenie leśne toporem lub żagwią człowieka wyplenione nazywają tu „dorami“. Owe przestrzenie leśne znajdują się dopiero tam, gdzie drzewo liściaste już granicy przez lasy szpilkowe naznaczonej nie przestrzega, i z nimi wiedzie walkę na śmierć lub życie. Mianowicie można tam ową walkę wyraźnie spostrzedz, gdzie jako przednie czaty drzewa liściastego białawe olchy i osiki spychają z placu boju smereczynę, albo gdzie się w miejscu dębów przygłuszająca je, silniejsza i wytrwalsza jodła znajduje. Brzoza zaś wyczekuje chwili, w której przypadkowy lub rozmyślny ogień na ziemi leżące szpilki lasów tego rodzaju w popiół zamieni. Brzozowe i osikowe krzewy rozścielają się w nizinach. Tak więc pojawiają się zwane przez rossyjski lud „debry“, głuche, gęste, niedostępne lasy z masą od burzy powalonych drzew, ale nie są to już czerwone drzewa szpilkowe, lecz ciemne, liściowe, które tworzą czarny las na równinach otoczonych pagórkami i górami. Kędy lasy szpilkowe i liściowe w bliskiem sąsiedztwie z sobą żyją, i nie przygniatają się nawzajem (szpilkowe rosną na suchych wyżynach, liściaste na mokrych nizinach), wytworzył się charakterystyczny typ w dziedzinie ptactwa, mianowicie włóczęga leśny, zmieniający nieustannie swój pobyt i nigdzie stale nie mieszkający. Jest nim jarząbek, najgłówniejszy i najbardziej ceniony żywiciel łowców leśnych. Wbrew zwyczajom innych swych skrzydlatych sąsiadów żyją jarząbki parami, i śród ciągłej włóczęgi nabierają owego delikatnego i smacznego mięsa, które je w całym świecie czyni poszukiwanymi. Gdy matka swoją gromadkę z ciemnego gąszczu leśnego na wolne powietrze wywiedzie, gdy następnie cała rodzina na zimę do głuchych lasów szpilkowych się przeniesie, to już wtedy zerwał jarząbek wszelki związek z swem miejscem urodzenia. Ów leśny włóczęga tem właśnie się odznacza, iż nigdy na jednem miejscu nie pozostaje. Około połowy Marca przylatuje jarząbek na kraj lasu dotykającego brzegów rzecznych, lubi bowiem być w pobliżu pól i łąk, na których rosną przysmaczki jego, berberes, szczaw i koniczyna, samica opuszcza samców w drugiej połowie Lipca, i szuka okolic przerzniętych strumieniem. Lasów szpilkowych unika, woli drzewo liściowe położone przy rzece, gdzie wiele brzóz, olch i krzewów rośnie. Gdy borówka dojrzewa, rozpoczyna się pora biesiadnicza dla jarząbka, i wtedy poczynają znowu samce wabić samice, odzywają się też na wabika, z piszczela ptasiego sporządzonego. W Październiku jest gromadka jarząbków tak liczna, iż lecąc przez las sprawia głośny szmer. Gromadą ciągną na kraj lasów i ku wązkim pasmom leśnym, gdzie szukają łakotek swych, jarzębiny. Ponieważ ona jednak dla tak znacznej liczby biesiadników na długo nie wystarcza, przeto pozostają na miejscu ledwo 6 do 7 godzin. Z wrzawą podnosi się cała czereda w górę, a że wszystkie są podówczas oblane i ciężkie, więc nie ulatują daleko, lecz spuszczają się w pobliżu na drzewa, często w tak wielkiej liczbie, że nawet u najdoświadczeńszego myśliwego wzbudzają podziwienie. Liczba tych ptaków zawisła jednak w jesieni głównie od stanu powietrza, na wiosnę i w lecie, gdy chłodno, ginie wiele młodych. Strzela się do jarząbków na dwie lub trzy godzin przed wschodem słońca, a zwraca się strzały zawsze ku najskrajniejszym. Strzelając w środek, rozprasza się je, poczem ulatują bardzo daleko, i nie siadają na drzewach, lecz na ziemi, gdzie ich najwprawniejsze oko nie dostrzeże. Wtedy z 20 do 30 sztuk ledwo jedna może dostanie się w zdobyczy, gdy bowiem jarząbki siedzą na ziemi, są tak ostrożnymi, iż nawet lis ich podejść nie zdoła. Aby je znowu na drzewa napędzić, trzeba umieć naśladować wrzawę ich lotu. W głębokim śniegu, podczas silnego wiatru lub zawierzuchy, kiedy nie można słyszeć ich lotu, nie należy na nie polować, również w czasie spadania śniegów i silnych mrozów. Najdogodniejszem jest powietrze dżdżyste, a w lecie w miejscach okwicie jagodami zasianych. Gromadnie żyją jarząbki tylko do Listopada, i do tego czasu usłyszeć można ich głos. Młode pozostają tam, gdzie się wylęgły, stare zaś chronią się w ciemnie lasów głuchych na zimę, i wyszukują sobie stare wierzbowe, brzozowe i jarzębinowe lasy w pobliżu rzek i strumieni. Tu często całe rodziny zagrzebują się w śniegu.

Tak więc przebiegając lasy i mimowoli potrącając o zwierzęta czworonożne i lotne, przybywamy na miejsca, gdzie flora leśna wszelką inną roślinność przytłumia i sama się rozlega, przybywamy do najniedostępniejszych gąszczów, do prawdziwego lasu pierwotnego. U Petschory rozłożyła się flora leśna odpowiednio do charakterystycznych stref leśnych. W pierwszej strefie między 67 i 63° 30′ północnej szerokości i 47° 30′ i 51° wschodniej długości, spostrzedz można przewagę modrzewi nad brzozą i świerkiem. Cedru i jodły nie ma tu jeszcze. Drzewa rosną wolno, szczyty ich suche, wnętrze przegniłe, u

modrzewi wiele dziur. Pojedyńcze egzemplarze drzew szpilkowych nie dosięgają nawet w bardzo późnym wieku (lat około 300) większej wysokości, jak zwykłe drzewo budowlane. W drugiej bardziej na zachód jak poprzednia położonej strefie (52 do 63° wsch. długości) pojawia się jodła, naprzód odosobniona i nikła, później zaś liczniej i w grupach, ostatecznie jako uwagi godna przymieszka do innych gatunków drzew, w wielkości pokaźnej drzewa budowlanego. Na południe od 65° północnej szerokości i na zachód od 57° zachodniej długości, występuje pierwszy sybirski cedr, zrazu jako wątłe drzewko, dalej ku grzbietom Uralu dosięga znacznej wielkości zwłaszcza co do objętości, tu żyje on głównie w towarzystwie świerka. Największe rozmiary ma cedr u wybrzeży Petschory. Modrzew w tej strefie jest silny, zdrowy, do wszystkiego użyteczny, i stanowi wyłącznie rąbek rzek i potoków jużto jako lesista, ogromna masa, jużteż jako grupa o szerokości najwyżej jednej wiorsty. Sosna tu jeszcze wątła bardzo, nie dosięga bowiem znaczniejszej wielkości i wichry ją łamią. Trzecia strefa zwracająca się od 63° północnej szerokości ku południowi, obejmuje przestrzeń samej prawie sośniny. Rąbki modrzewiowe przy rzekach i strumieniach są coraz rzadsze, pojawiają się świerk, cedr i brzoza tylko przypadkowo, a jodła znika zupełnie. Natomiast zaś rozrastają się sosna, świerk i cedr do takich rozmiarów, że u każdego mieszkańca tej okolicy znaleść można stoły sporządzone z tarcicy arszynowej szerokości.

Pojawienie się cedra wskazuje już, żeśmy dotarli do takich gąszczów, do których nawet najzuchwalszy człowiek wstąpić się nie odważy, tu dlań stanowcze słowo: „Ani kroku dalej, patrz jaka to straszna puszcza!“ Wysoka ściana niezmiernych pni piętrzy się przed nami i w drodze nam staje, ona wędrowcowi odejmuje wszelką nadzieję zanurzenia się w głąb. Wściekłe burze, rozbijające okręty na morzu, tu także szalały i waliły z dziwną łatwością najpotężniejsze olbrzymie drzewa, jakby przedtem sobie je na pastwę obierały. Przez wysokie warstwy owych trupów przekroczyć niepodobna, trzeba je obchodzić, ale przytem zawsze pamiętać, że niedoprzebycia ściana dla oka zdająca się być ledwie na kilka sążni długą, rozlega się na dwadzieścia i więcej nawet wiorst. Również nie trzeba zapominać, że świeże trupy grubych gałęziastych drzew nie same tu spoczywają, obok i pod nimi leżą w różnych stopniach rozkładu pra i prapradziady owych olbrzymów, poległi dawno w walce z strasznym nawałem wichrów. Pokryte już one zielonym mchem, w którym zagłębiłby się człowiek, gdyby mu pod mchem gnijący pień nie dostarczył niezbyt pewnego oparcia, zawsze jednak wpada się aż po kolana. Ponieważ i ów warstwami gnijący mech nową wegetacyę wspiera, owszem daje jej okwite pożywienie i pewny byt, to powstają z nasienia roznoszonego przez wichry, nowe drzewa, które na grobach ojców i praojców swobodnie w górę strzelają i nową generacyę leśną tworzą. Żadne wszakże z tych drzew nie dosięga wyższego wieku, jak lat 60 do 70. Za tą ścianą rozlega się więc właściwy gąszcz, rdzeń ciemnej, głuchej puszczy, którą lud „Kaltus“ nazywa. Las ów może nie jest tak gęsty, sosny stoją w pewnej od siebie odległości, i możnaby kroczyć między niemi, ale las ów jest niedostępny, i bezskuteczne byłoby błąkanie się w nim. Sosny jedna do drugiej zupełnie podobne, i dla tego ów las sosnowy i Kaltus są tak straszliwie jednostajne. Jednej sosny nie można sobie tak dokładnie zaznaczyć, iżby ona służyła za przewodnika. Jeżeli się znajdzie w której znamię np. chorobliwość, i ją się zapamięta, to powtórzy się owo znamię na wielu innych w pobliżu stojących. Nić Ariadny wymyka się z ręki, rozpoczyna się błądzenie, kołowanie, a kończy się na bezwiednym powrocie do tego samego miejsca, z którego się wyszło, aż wreszcie pada wędrowiec z wysilenia i głodu, owłada nim rozpacz, a w oczach jego staje najstraszliwszy obraz śmierci głodowej. Koła, jakie podróżny robi, są według twierdzenia ludowego od „Leszów“ (czartów) zakreślone. Lasy zwane Kaltus są tak dzikie i czarne, iż nawet ptactwo ich unika. Małe tylko ssawce, jak lotne i pręgowane wiewiórki żyją tu, większe zwierzęta nie znajdują tam żeru, i z tego powodu nie wchodzą. Wcisnąć się można wprawdzie w taką puszczę, ale tylko w zimie i to na łyżwach, nikt jednak tego nie czyni, byłoby to bez celu, nic bowiem z takich lasów się nie wynosi.

Oto tam młody las, który szybko wspiął się w górę ale niektóre drzewa przełamane leżą na ziemi, inne z sobą splecione i na bok pochylone, największa zaś część tworzy łuki w nieładzie z sobą spojone. Zdaje się, iż szalona burza, straszny huragan tędy przeciągnęły i pozostawiły po sobie ów ponury obraz, w istocie zaś inaczej się rzecz ma, — na owych drzewach leżała przez pół roku gruba warstwa śniegu, a ich gałęzie obciążone były ciężkimi sąplami lodu. Szpilki wstrzymywały śnieg, więc ciężar utworzył ów chaos, przez który niepodobna się przedrzeć.

(Dokończenie nastąpi).

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Dokończenie).

Żadne z czworonożnych zwierząt prócz wilka, pod grozą nawet panicznego strachu nie zapuszcza się daleko w te błotne topiele. Zaręczano mi, że w zimie często przydarza się w środku błót spotkać w śniegu ścieżkę, wydeptaną przez wilki. Podczas zawiejnych zim zwykle wilki odbywają wędrówki, przebijając się przez śnieg jeden za drugim. Lisy zwłaszcza gdy mało myszy i chrząszczów, dążą na moczary, nie zapuszczają się jednak zbyt daleko, szukają tam gniazd błotnego ptactwa, z których jaja i pisklęta pożerają, chwytają kaczki na brzegi z jeziora lub rzeki wychodzące, nie pogardzą wreszcie i żabami. W zimie, gdy mróz przystępniejszemi czyni nadbrzeża rzek lub owe miejsca, na których wody w lecie nie wysechają, a w zimie nie zamarzają, lecz jak lud mówi, wiecznie „kisną“ bezdenne kałuże, oparzeliska i jeziorka, spieszą tam i wspólnie z kuną wodną łowią piskorze, których tam wtedy niezliczona

*) Rossyanin nazywa czarta djabłem, ale wystrzega się użyć tego wyrazu, aby go nie obrazić. Lesz jest djabłem leśnym od wyrazu les, las.

mieści się liczba. Ryb po oparzeliskach wcale nie ma, bo one potrzebują wody, a tej tam nie wiele, tylko muł, błoto rozrzedzone, szlam cuchnący, prawdziwy żywioł dla piskorzów. Wydra chyba w ostateczności żywi się piskorzami. Gdy rzeki i jeziora lód pokryje, odbywa ona dalekie wędrówki szukając przerębli czyli otworów w lodzie ręką ludzi w celu łowienia ryb poczynionych, lub też miejsc odtajałych, wie bowiem, że o tej porze najwięcej ryb tam się gromadzi. Wtedy skacze w wodę, zanurza się, i zawsze prawie pojawią się z ułowioną rybą, pożera ją na lodzie i znowu ponawia łowy. Ciężka dola wydr, gdy lody pokryją rzeki i jeziora, częstokroć nader dalekie muszą odbywać wędrówki, nim znajdą przeręblę czyli płonkę, w której połów się udaje. Stokroć jeszcze cięższą dola ryb, brak powietrza zabija je, giną czyli jak rybacy mówią: „sną“. Jakkolwiek nie wiele potrzebują powietrza, to jednak bez niego obejść się nie mogą, w niezamarzniętej wodzie, nie wynurzając się wcale na powietrze żyją i są rzeźwe, albowiem i w wodzie znajduje się nieco powietrza. Płazy w zimie nie potrzebują wcale powietrza, zasypiają snem zimowym twardszym jak borsuk, jeż, niedźwiedź. Słusznie zasypianie owadów, płazów nazwano „zaumieraniem“, bo życie w nich dopiero ciepło promieni słonecznych na wiosnę obudza. Czas trwania tego snu dokładnie określić się nie da, można go skrócić i przydłużyć, o czem sam się przekonałem. W połowie Października ułowiwszy dwie żaby trzymałem ie aż do następnej wiosny t. j. do Kwietnia w beczułce wody, stojącej w ogrzanej izbie. Aż do połowy Stycznia nie zasnęły i były rzeźwe, poczem wystawiłem beczułkę na mróz, po godzinie w miarę jak woda poczęła stygnąć i marznąć, żaby przestały pływać, siadły na dnie jedna przy drugiej, i w tej samej pozycyi zastałem je trzeciego dnia po zamarznięciu wody aż do dna. W drugiej połowie Lutego wniosłem beczułkę napowrót do ogrzanej izby, jak długo lód nie roztajał, żaby były martwe, skoro wszakże woda zupełnie rozmarzła i słońce zaglądało do naczynia, ożyły i były rzeźwe. Drugą próbę przypadek dokonać mi pozwolił. Zwożono lód do przechowania, w jednej bryle spostrzegłem spiącą a raczej zamarzłą żabę, zamierzyłem zrobić doświadczenie, ażali można sen tego płaza przydłużyć. Umieściłem bryłę w lodowni dobrze urządzonej. Dopiero we Wrześniu wyniosłem na powietrze bryłę lodową wybornie zachowaną, po dwóch dniach stajała i uwolniła żabę z niewoli. Stopniowo nabierała życia, najpierwszym objawem było zmniejszenie się objętości brzucha, wymiotami i kałem spłynął galaretowaty, czarny śluz, poczem strętwiałe członki stawały się giętkimi, poczęła się poruszać czyli drgać jakby pod wpływem stosu galwanicznego, następnie coraz żywiej, mniej konwulsyjnie poruszała się, wyraz oczów rozjaśnił się, zaczęła oddechać — i oto cudowne dzieło przyrody wskrzeszania umarłych dokonane. Niektóre gatunki żab, między niemi ropuchy układają się do snu zimowego w głębi ziemi, w pniach spróchniałych drzew i szparach murów lub rozpadlinach skalnych. Ciekawą rzecz widziałem we wsi B. w Samborskiem. Lubo pola były drenami osuszone, jesień wcale nie słotną, wystąpiła na powierzchnię pewnej części pól woda. Sądzono, że dreny się popsuły, więc rewidowano je. Pokazało się, że otwór drewnianej rury literalnie zapchanym był żabami, ułożonemi już na zimowisko. Toż samo działo się we wszystkich rurach. zaradzono temu pokrywając otwory rur blaszkami dziurkowanemi.

Ssawca można śród zimy rozbudzić jakimkolwiek sposobem, płaza tylko naturalnem lub sztucznem ciepłem. U ssawca bez narażenia go na śmierć snu przydłużyć nie można, ani też skrócić. Naturalista niemiecki Tschudi wspomina, że uważał na swym chowanym borsuku, iż tenże, lubo dzikie zwierzęta od pierwszej młodości chowane w niewoli zmieniają swoją naturę, nie mógł oprzeć się senności w zimowych miesiącach. Podobne nieco objawy spostrzegłem na niedźwiedziu piastunie. Pochwycono go bardzo jeszcze małego, a gdy miał już prawie rok, widziałem go w Styczniu, był wtedy leniwym i ospałym, nie zaś ruchliwym i chętnym do igraszki z czeladzią i psami, jak zwykle. Prosiłem, by go nie budzono, więc spał bez przerwy przez pięć dni. Podczas gdy ssawce na zimę zasypiają, zapadają płazy w najzupełniejszy letarg i nieczułość, można je krajać, a nie obudzą się, kiedy pierwsze już za mocniejszem poruszeniem dają oznaki życia. Warunkami niezbędnymi snu są jednostajność temperatury i zupełny brak światła słonecznego. Modyfikują się one dla ssawców i płazów w miarę ich snu, lodowate zimno byłoby dla ssawców zabójczem, dla płazów jest koniecznem. Mały przystęp lub zupełny brak atmosferycznego powietrza jest właściwą przyczyną snu lub zupełnego letargu, ztąd ssawce uspione słabo, płazy zaś wcale nie oddechają. Że do snu zupełny brak światła jest koniecznym, świadczy zagrzebywanie się zwierząt w norach, w ziemi, lub zamrażanie się w lodach. Światło budzi ze snu, lub wywołuje półsen, widzimy to na zwierzętach i ludziach. Wydarza się często, że zwierzęta żerujące za dnia, wychodzą na żer śród jasnych, księżycowych nocy. Sam widziałem ptactwo wodne dzikie i swojskie wypływające na wody podczas takich jasnych nocy i żerujące, mniej jednak objawiające życia i ruchu. Również bociany wylatują z gniazd na żer, gdy księżyc w pełni, a niebo chmurami nie pokryte. Miałem raz sposobność widzieć na czystych wodach, olśnionych jasnem światłem księżycowem, stado pływających i żerujących, białych jak śnieg gęsi. Prześliczny to był widok, na srebrzystych falach jakoby czarodziejskiego jeziora posuwały się śród tajemniczej ciszy! — Jakaś tajemnica dotąd niezbadana pokrywa ów sen zimowy zwierząt. Obszerne to jeszcze pole do dociekań dla miłośników przyrody!

Owe urzędowe łowy na wilki niezły wykazały rezultat. Część ich wybito, reszta wyniosła się w lasy Kongresówki, i przycichły rozboje tych łupieżców. Dłuższy czas pozostałem jeszcze w tych stronach, polując z chartami, nie zapomniałem wszakże o błotach, bardziej w jesieni ożywionych, jak podczas skwarów letnich. Głęboką ciszę, zalegająca w letniej porze knieje i moczary, nie tylko samym upałom przypisać należy, niemniej też przyczyną jest „pierzenie“ się wszelkiego ptactwa. Ronienie „stroju“ i porost nowego stokroć ważniejszą jest chwilą dla ptaków, jak „lenienie się“ dla zwierząt czworonożnych. Lubo i one w tej porze przebywają krytyczną w swem życiu chwilę, i słabszemi się okazują, to jednak ptaki o wiele bardziej cierpią. Właściwą porą pierzenia się są miesiące Lipiec i Sierpień, w tym okresie czasu poczyna się i kończy ta zmiana stroju, powoli, pojedyńczo opadają dawne pióra, a natomiast porastają nowe. Proces ten nie sprawia wprawdzie dotkliwych cierpień fizycznych, widocznie jednak osłabia cały organizm, bo ptaki podówczas są posępne, mniej ruchliwe, ucisza się gwar i spiew. Stare zapadają jakoby w jakąś chorobę, a dla młodych bywa ta pora nawet czasem śmiertelną. Pisklęta w czasie „porastania w pałki“ są najsłabsze, jak dzieci w czasie ząbkowania, jedynie zasoby sił żywotnych opierają się skutecznie tej affekcyi. Wcześnie, w właściwej porze i w korzystnych warunkach wylęgłe pisklęta łatwiej znoszą tę chorobę, późniejsze lub powtórnego lęgu giną najczęściej.

Strzelby, jak już kilka razy wspomniałem, nie wolno było posiadać, owej janczarki Wasyla mogliśmy tylko na nie-

dostępnych błotach używać, chociaż dosyć gęste strzały na nich ściągnęły nie jedną rewizyę we dworze i w chacie Wasyla. Naturalnie nic nie znaleziono, a na poszukiwanie strzelby na błotach zabrakło urzędnikom odwagi, więc kończyło się na spisywaniu sążnistych protokołów. Wtedy myśliwi gasili swoją namiętność łowiecką uganianiem z chartami za szarakami i lisami, ja zaś prócz z chartami polowałem też na przepiórki z „rozjazdem“. Sposób ten polowania wcale przyjemny nie wiem z jakiego powodu wyszedł dziś zupełnie z używania. W dawniejszych czasach polityką zagraniczną wcale się nie zajmowano, gazet było nie wiele, szlachcic dziesiąć razy odczytawszy treść kalendarza do poduszki ani marzył, iż można jeszcze coś innego z pożytkiem i przyjemnością czytać, czemżeż można było zabić długie jesienne i zimowe wieczory? Chyba pogadanką przy ognisku kominkowem, lecz i ta się wyczerpywała, więc tkano sieci. — Najwyborniejsze sieci wyrabiano w Jarosławiu, toż szeroko się one w handlu rozchodziły nie tylko w kraju, ale nawet za granicą. Wszystko się robiło w domu, siano konopie, moczono, międlono, przędzono, zaprawiano przędzę, o czem niżej wspomnę, tkano sieci, wywożąc je na targi do Gdańska i Hamburga, włókno bowiem polskich konopi miało światową sławę. Więc też przemyślni Jarosławianie umieli korzystać z tego rozgłosu, nie handlowali surowcem, lecz przerabiali go na sieci lub płótno, i nie przez agentów, lecz sami w własnej osobie wywozili je galarami zbożowymi na zagraniczne targowiska. Holendrzy, Duńczycy i mieszkańcy północnych Niemiec zaopatrywali się w owe wyroby, w sławne podówczas przeróżnych kształtów i rozmiarów „ok“ włoki i sieci do łowienia śledzi i ryb w morzu lub w mnogich jeziorach. Jednem słowem Jarosławianie obdarzali w sieci rybaków, ptaszników i myśliwych owych krajów. Zanim użyto przędzy do tkania sieci, zaprawiano ją naprzód w różnorodny „sekretny“ sposób. Przędzę moczono przez czas jakiś w kwasie garbarskim, w wywarze kory dębowej, wierzbowej lub świerkowej z dodaniem ałunu, który czynił przędzę wytrwałą na działanie wilgoci wód słodkich i słonych. Czasem używano do zaprawy wody mazianej, którą mimochodem w kilku słowach opiszę. Smołę wyrabia się ze smolnego drzewa sosnowego. Ułożony stos z cienkich polanek, zwanych skałkami, wokoło zasypany ziemią, zapala się u wierzchu. Gdy cała powierzchnia dobrze się rozpali, olbrzymim słupem ognia buchając, przykrywa się ją zmoczoną w wodzie słomą, liściem lub najodpowiedniej końską mierzwą. Wtedy cały stos poczyna wewnątrz tleć, w skutek czego zawarta w skałkach żywica, gorącem z porów drzewa wyparta, spływa w postaci czarnej juchy ku dołowi stosu, tak zwanemu „piecowi“, ściekając rynną u spodu umieszczoną w podstawioną kadź lub beczkę. Stos taki czasem na kilka sążni wysoki i szeroki tli dwa i trzy tygodnie. W pierwszych dniach po rozpaleniu zwłaszcza, gdy skałki były surowe t. j. pełne oprócz żywicy soków drzewnych, płynie zamiast owej juchy smolnej „mazią“ zwanej, woda czyli ów sok drzewny. Wodę tę zbierają w osobne naczynie, używając jej do rozmaitych celów, mianowicie do mięszania z gliną na klepiska w stodołach, po wyschnięciu twarde jak marmur, lub też moczą w niej dla nadania trwałości liny, sznury lub gotowe już sieci, ale nie przędzę, z której mają być utkane, bo w wodzie tej wymoczona przędza staje się lepką, więc trudnoby była robota przy przesuwaniu iglicy. Tym sposobem zaprawiane sieci najbardziej były poszukiwane przez Duńczyków, Holendrzy zaś przekładali pierwsze. Zaprawa nadawała sieciom nietylko trwałość, ale też rozmaitość barw. Sam kwas garbarski zabarwiał na „jucht“ t. j. kolor żółtawo-czerwony, wywar kory z ałunem dawał kolor orzechowy. Dodatek do dwóch ostatnich zapraw ziela „krokosa“, tak zwanych trzasek farbiarskich lub soku dojrzałej kaliny, zabarwiał sieci na kolor purpurowy, nadawany zwykle sieciom na ryby, lubo używano też do tego celu sieci nie zaprawionych, surowych, tak zwanych szarych. Sieci myśliwskie zabarwiano zwykle na zielono, który kolor pozyskiwano z mięszaniny wywaru kory jabłoniowej, korzenia pokrzywy piekącej, stosownej ilości koperwasu, soku jagód bzowych, albo trzasek drzewa brazylijskiego. Tym sposobem otrzymywano kolor ciemno lub jasno zielony, podobny do zieleni leśnej lub łąkowej. Wszelkie ptasznicze i niektóre myśliwskie sieci jak: „płotki“, „drygubice“ a nawet wielkooczne „rozjazdy“, których do łowienia kuropatw w zimie się używa, należy zabarwiać na zielono, bo ptak dąży do nich bez obawy.

Polowanie z rozjazdem należy do zakresu ptasznictwa, dziś prawie zupełnie nie używane. Jedynie górale tatrzańscy trudnią się jeszcze łowieniem kwiczołów i jemioł w sidła na przynętę. W dawnej Polsce łowy z „płotkami“ lub „drygubicami“ na kuropatwy, a z rozjazdem na przepiórki były ogólnie używane. W jesieni, gdy na polach już tylko ścierń, a gdzieniegdzie leżą jeszcze na pokosach owsy późno dojrzałe, hreczki lub prosa na „pomieć“ wyżęte, poczyna się polowanie z rozjazdem. Im większy rozjazd, tem obszerniejszą przykrywa przestrzeń. W późnej jesieni wszystkie odlatujące ptaki zwykły gromadzić się w większe lub mniejsze stadka, czynią to i przepiórki, złączywszy się w gromadki po kilka lub kilkanaście sztuk przesiadują w większych ściernianiach albo trawą podszytych miedzach i pod krzaczkami cierniowymi, głogiem lub dziką różą porośniętymi. Obszerniejszym rozjazdem jednem pokryciem czyli mówiąc językiem ptaszników, jednem „zaciągnieniem“ można całe stadko złowić. Dwóch ludzi wystarcza do tego rodzaju łowów, każdy z nich ujmuje za koniec rozjazdu, przez który w całej szerokości przewleczonym być musi długi, mocny, półcalowej grubości sznur, którego „dzierzki“ po jednej i po drugiej stronie na kilka stóp powinne wystawać. Te wolne końce sznura służą do rozciągnienia rozjazdu i przykrywania pojedyńczych lub w stadkach siedzących przepiórek Dobry legawiec niezbyt gorący, „wytrzymujący“, jest niezbędnym. Jaką przestrzeń pola przykrywać, zawisło od ostrego lub tępego wiatru legawca. Pies idzie „strychując“, za nim postępują ludzie z rozciągniętym na całą szerokość rozjazdem, z tyłu zaś zebranym w „rańtuch“. Skoro wyżeł stanie, myśliwi rozpuściwszy rozjazd przykrywają psa, a razem z nim do ziemi przytulone przepiórki. Należy naprzód wiedzieć, czy pies z bliska lub z daleka ściąga i staje do zwierzyny, od tego bowiem zawisło pomyślne przykrywanie. Często wyżeł ostrym obdarzony wiatrem nie ściąga, lecz od razu staje na kilkadziesiąt kroków od ptaka, w takim razie należy psa zniewolić do posuwania się bez obawy spłoszenia zwierzyny, bo przepiórka w tej porze dosiaduje twardo. Ułowione przepiórki najlepiej wkładać do torby z rzadkiego płótna, w siatkowej bowiem przepiórki się plączą i łamią nogi. Nie wszystkie przepiórki pod rozjazdem zaraz „biją“ w górę, często długo za niemi trzeba „deptać“, nim się je znajdzie, nie należy więc spieszyć się z zbieraniem rozjazdu. Powolnym krokiem trzeba przykrywać, pospiech bowiem płoszy zwierzynę. Wyżeł gorący, rzucający się na zwierzynę, powinien być na linewce prowadzonym. W ten sposób łowione przepiórki przechowywałem nieraz przez zimę. Izby, w których przepiórki umieszczone, należy przynajmniej dwa razy w tygodniu ogrzewać, są one bowiem bardzo na zimno niewytrwałe. Jako żer służyć mogą prze-

niczne poślady, proso, nasienie gorczycy dzikiej, której dość odchodzi przy młynkowaniu zboża, ale nie można dawać nasienia konopnego, pożerają je wprawdzie skwapliwie, i dobrze się niem tuczą, ale po dłuższem spożywaniu siemienia dostają biegnnki, chudną i giną. Wody należy podawać często i odmieniać, gdy zamarznie, i śniegu zamiast wody nie podrzucać, bo zaziębiają sobie żołądki, chudną i giną. Dobrze jest w zimie dodawać do żeru nieco nasienia kminu, chętnie go jedzą, i służy on zarazem jako prezerwatywa przeciw zaziębieniu, bo rozgrzewa. Przy starannem hodowaniu tuczą się przepiórki do tego stopnia, że tracą pierze, lecz to już jest stan chorobliwy. Nie można obcesowo do ich siedziby przystępować, bo płoszą się i rozbijają. Mięso przepiórki jest wyborne czy to jako pieczyste czy w pasztecie. Tłuszcz jej służył dawniej jako lek przeciw lekkiemu zapaleniu oczów. Wkładano go do słoika lub flaszki, wystawiano na działanie słonecznego lub piecowego ciepła, tłuszcz rozpływał się, i płyn ten wpuszczano po kropelce do chorego oka. Próbowałem też bekasy łowić rozjazdem, lecz się nie udawało, bekas jakkolwiek w południowych godzinach gorących zwykł twardo dosiadywać, nigdy jednak tak „głucho“, żeby go szelest kroków nie wypłoszył. Chruściele przykrywałem w jesieni, gdy mocno oblane.

Jesień — ptactwo na błotach gotuje się do odlotu, gromadzi się w stada, wszystkie parki po zakątkach polnych, błotnych lub leśnych przez całą wiosnę i lato oddane miłości dla siebie i potomstwa, dążą na miejsce ogólnego zboru, zkąd społem wyruszą w daleką podróż. Kto je tam przyzywa, kto steruje lotem tych powietrznych żeglarzy śród nocy, śród oceanu niezmierzonego? Kędy lecą, jakie ich w tej wędrówce obyczaje, jakie życie na zimowych siedzibach, o tem, jeżeli łaskawy czytelnik pozwoli, w innej porze opowiem.

Wraz z odlotem ptaków z moczarów bełzkich i ja pożegnałem te miłe dla mnie strony, z tą jednak różnicą, iż one z wiosną wróciły do swych rodzinnych gniazd, ja zaś mówiąc z poetą:

„Pożegnałem nie wczora
I nie jutro zabaczę!

We Lwowie 15 Lipca 1881.

O szkodliwości pyłku kwiatowego sośniny dla zwierzyny łownej z rzędu przeżuwaczy.

Zwierzęta tak dzikie jakoteż domowe podlegają różnym chorobom, mniej wszakże, jak człowiek, z powodu nieustannego przebywania na wolnem powietrzu i zahartowania ciała na wszelkie zmienne wpływy powietrza. Ginie ich wiele w wczesnej młodości, zwłaszcza podczas długotrwałej słoty i śnieżnej zawiei w miesiącach Marcu, Kwietniu, a nawet w Maju, lecz gdy młodzież przetrwa tę pierwszą szarugę, to już zahartowana dostatecznie na przyszłe twarde koleje życia. Każda pora roku przynosi zwierzętom obok korzystnych również szkodliwe wpływy — my zatrzymamy się na drugiej połowie Czerwca, o której staropolska przypowiastka mówi:

„Kwitnie jodła, świerk, sośnina,
Już się lato rozpoczyna“.

Nim przystąpimy do zamierzonego przedmiotu, pozwolę sobie zapytać czytelnika, ażali spostrzegł w miesiącach letnich, podczas najstalszej pogody, najspokojniejszego powietrza, mgłę lekką, ledwie dostrzeżoną, unoszącą się ponad szczytami lasów? Zjawisko to mianuje lud „kurzeniem się lasów“, badacze zaś przyrody wykryli niedawno inną przyczynę tego fenomenu. Nie moją rzeczą wyjaśniać go, ciekawego czytelnika odsyłam do którego z celniejszych dzieł botanicznych, powiem więc tylko, że ową mgłą unoszącą się ponad lasami jest pyłek kwiatowy, zwany zapłodowym. U drzew liściastych jest on więcej eterycznym, u szpilkowych mniej lub więcej subtelnym, łatwiejszym do ujęcia i zbadania. Z liściastych klon, z szpilkowych sosna mają ów pyłek zapłodowy najbardziej dostrzegalny. Pyłek ów w ogóle nie jest szkodliwym dla istot organicznych, z wyjątkiem wszakże pyłku sosnowego. Wywiera on nader szkodliwy wpływ na stan zdrowia zwierząt przeżuwających, mianowicie bydła rogatego, owiec i kóz, pasących się śród sośniny, jakoteż jeleni i sarn, stale przebywających w lasach sosnowych.

Wieś Zimnąwodę pod Lwowem, otoczoną sosnowym lasem, wziął w dzierżawę znajomy mój pan P. W Marcu sprowadził z Sanockiego zdrowe i bardzo dobrze utrzymane bydło rogate, które w odpowiedniej porze wypędzono na pastwisko, położone śród wysokopiennego, sosnowego lasu, gdzie miało się paść aż do jesieni czyli do pory, w której po uprzątnieniu zbóż mogło się żywić na ścierniach Lato i jesień były posuszne, pomimo tego było paszy zielonej dosyć, a jednak bydło i owce, przedtem bardzo dobrze utrzymane, poczęły około późnej jesieni chudnąć, i objawiać zły stan zdrowia. Sądziliśmy, że dzieje się to w skutek zamiany paszy górskiej na nizinną, wszakże wiadomo, jaki wpływ wywiera szczególnie na bydło rogate taka zmiana pożywienia. W miesiącu Listopadzie, w krótkich przerwach czasu, padły trzy krowy, do Stycznia zginęło sztuk 18. Wszelkie objawy chorobliwe, dostrzegane na chorych i martwych, kazały się domyślać motylicy. Zmartwiony tą klęską pan P. pozostawiwszy tylko kilka krów i cztery woły, jakotako w ścierwie i zdrowiu się trzymające, resztę sprzedał za bezcen na targu lwowskim. Jednego wołu zdradzającego chęć przeniesienia się do wieczności sprzedał był żydowi rzeźnikowi. Nazajutrz zjawia się ów kupiec i pokazuje nam dwie niekształtne kule wielkości pięści, znalezione w żołądku zabitego wołu. Były one twarde jak kamień, barwy czarno-brunatnej, wyglądały jak kłąb konopnych kłaków, zlepionych, mocno zbitych i zeschniętych. Rozrąbawszy ów kłąb na dwie połowy, przekonałem się, że była to zwiędła trawa, zmięszana z jakąś lepką materyą. Poddawszy tę mięszaninę próbie ognia, woń i sposób gorzenia wykazały żywicę. Widocznie wytworzyły się te kule w skutek paszy leśnej, cielęta bowiem wcale nie puszczane na pastwisko były zupełnie zdrowe. Tak jak bydło rogate, ginęły też owce. W moich oczach dorznięto ledwie żywego barana, i w żołądku znaleziono kilka gałek objętości włoskiego orzecha. Któryś z miejscowych włościan mówił panu

P., że „do piu lita ne hodyt sia pasty chudoby w lisi“, ale on uważał to wyrzeczenie za zabobon lub za podstęp ze strony chłopa, pragnącego przysporzyć pastwiska dla swego bydła. „Mądry po szkodzie“, postanowił pan P. już odtąd bydła w lesie nie paść, i na tem się skończyło. Ale mnie klinem w głowie utkwiły wyrazy: ne hodyt sia! Z jakiej przyczyny? Jak Marek po piekle tłukłem się po leśnem pastwisku chcąc zbadać powód tej choroby, ale naprożno. Śledziłem, czy też bydło nie liże pni drzew sosnowych, ich żywicę słono-gorzkawego smaku, więc ponętną, czy nie żre szpilek spadłych z drzew wraz z trawą — ale przypuszczenia te okazały się mylnemi. Podczas wczesnej wiosny przez kilka dni bez przerwy przypatrywałem się pasącemu w lesie chłopskiemu bydłu, i widziałem, że ani pni nie lizało, ani też pasło się w miejscach zasłanych szpilkami sosnowemi. Przypadek dozwolił mi wykryć właściwą przyczynę tej choroby. W ostatnich dniach Czerwca odwidziłem pana P. w Zimnejwodzie. Dwór leżał przed kilku laty przy samym lesie sosnowym, teraz ów las wycięto i wykorczowano. Pogoda była prześliczna i stała, sośnina w pełnym kwiecie, upał nieznośny. W miejscach, gdzie drzewa sosnowe były rzadsze i nie wiele rzucały cieniu, rosła dosyć bujna trawa niezwykłej barwy żółto-zielonej. Zdziwiło mnie to, a gdym się jej bliżej przypatrzył, spostrzegłem, że zaległ na niej w dosyć grubej warstwie jakiś żółty pyłek. Starty przylegał do palców i podobnym był do miałko utartej siarki, lub tak zwanego kwiatu siarczanego. Po chwili barwa tego pyłku nikła na palcach, pozostawiając lepkość i woń żywiczną. Zebrałem trochę tego pyłku i wróciwszy do domu wsypałem szczyptę jego na rozpaloną blachę żelazną, i z woni przekonałem się, że ów pyłek zapłodowy drzewa sosnowego jest spyloną najsubtelniej żywicą. Pora zapładniania się kielichów kwiatowych niezbyt długi, dokładnie jej oznaczyć nie można, zawisła bowiem od przyjaznych lub przeciwnych warunków. Nawalne deszcze, długotrwałe słoty z wiatrem nie dozwalają się pyłkowi wytworzyć lub niszczą go, wtedy kwiat nie wydaje owocu czyli szyszek. Lecz gdy stała trwa pogoda, ciepło z lekkim powiewem wiatru, wówczas wrażliwe kielichy kwiatu chwytają w otwarte swe łona ulatujący w powietrzu pyłek zapłodowy i następnie wydają owoc. Reszta owego pyłku albo wiatrem uniesiona w dalekie strony lub też wolno spada ku ziemi, pokrywając jej roślinność. Rzecz to przez naukę dostatecznie stwierdzona. Bydło pasące się w lasach sosnowych nie ma wstrętu do paszy pokrytej tym pyłkiem, bo ma on smak słono-gorzkawy. Żywica owa spylona przeżuta dostaje się do drugiego żołądka, gdzie łącząc się z pokarmami tworzy niestrawne ciało, zalega między fałdami czyli księgami, i jest powodem choroby a następnie śmierci zwierzęcia.

Szanowni czytelnicy „Łowca“ przebaczą, iż zamiast o zwierzętach łownych mówię o bydle, pragnę jednak zwrócić uwagę myśliwych, ażali dosyć często u nas pojawiający się stan chorobliwy sarn, przebywających zwłaszcsa w lasach czysto-sosnowych, przypisywany motylicy, nie wynika raczej z przyczyny wyżej przezemnie określonej. Bydło łatwo od tej choroby ochronić nie wpuszczając go w tej porze na paszę do lasów sosnowych, sarny prawie niepodobna, chyba ściągać je należy do kawałków lasu nie sosnowych, a straszakami wypłaszać z sosnowych.

G.

Polowanie na wilki

PRZEZ

Wiktora Cossmanna.

(Dokończenie).

Słońce przygniotło wreszcie gęste mgły, jaśniało łamiąc się w tęczowych kolorach na milionowych kroplach, zawisłych na drzewach i krzewach, iskrzyło się na wilgotnych żółtych liściach, których jeszcze zima nie strąciła. Gońce i myśliwi byli nawskróś przemoczeni. Posiliwszy się wyruszyliśmy do drugiego miotu, zawsze jeszcze pod górę. Rozstawiono nagónkę i myśliwych, i rozpoczęto gon, ale skutek, jak w pierwszym miocie świetny, tak teraz był prawie żaden. Żadne żywe stworzenie nie pojawiło się przy mnie, prócz starego zająca i pojedyńczych jarząbków, które mi nad głową przelatywały. Trzeci miot zaprowadził nas jeszcze głębiej w góry. Drzewo liściaste znikało już na wysokości 800 metrów, a pojawił się iglasty drzewostan, i weszliśmy wreszcie do jedliny, z której wyrabiają strasburską terpentynę. Jeszcze dalej rozlegała się daleka przestrzeń sośniny, w której nie tylko wilki ale także dziki często znajdowano. Zakazano nam strzelać do dzików zwłaszcza, że na wilki mieliśmy w lufach tylko śrót, którym dzikom nie bardzo dokuczyć można. Rozpoczął się gon. Dwie sarny przebiegające nie kazały się spodziewać wilków, dwa te bowiem rodzaje zwierzyny zwykle w jednej kniei się nie znajdują, a jednak stało się przeciwnie tym razem. Miałem przyjemność, stojąc na znacznie wyniosłem stanowisku, swobodny mieć pogląd na całą liniję strzelców, i spostrzegłem nagle, jak mój drugi sąsiad podniósł strzelbę do ramienia i dwa w gąszcz wysłał strzały. Skutek widocznie nie był pomyślny, bo najbliższy jego sąsiad strzelił także dwa razy, jak się zdawało z lepszym skutkiem. Przy nim stał kanonik, i koło niego wypadł wilk widocznie z zamiarem przemknięcia przez linije. Ksiądz raczący się właśnie szczyptą tabaki, uczynił to naprzód z pośpiechem, zmierzył się z szybkością, która nie małą okazywała wprawę, i jakby siłą czarodziejską wraz z złożeniem się myśliwego, padł wilk, odgłos bowiem strzału rozległ się z powodu znacznego oddalenia dopiero później. Miot wnet się skończył, i oglądaliśmy ciekawie ową piątą ofiarę złożoną św. Hubertowi, półtorarocznego, wyrosłego wilka. Kanonik tryumfował, podniósł mu głowę, wstrząsł nią i zawołał: „a mam cię ptaszku!“ Nadszedł też generał i wpatrywał się w zwierzę. Oglądnąwszy go w koło, nagle stanął i rzekł: „Panowie! ten wilk jeszcze żyje, jego lampy jeszcze nie zupełnie przyćmione, a jeżeli się bacznie weń wpatrzycie, to spostrzeżecie, jak oczami was będzie prowadzić, dobrzeby było, gdyby kilku strzelców miało strzelby w pogotowiu“. Wielu wtedy śmiało

się z tej zbytecznej przezorności, ale dwóch oficerów przygotowało się do strzału, nie można bowiem było zaprzeczyć, że ukośne oczy wilcze dziwnie przenikliwie zwracały się ku każdej osobie, która się przybliżyła. W skutek tego spostrzeżenia rozwarto koło, jakie przy wilku utworzyliśmy, u jego głowy. Gdy wilk dostrzegł ową przerwę, stanął nagle pośród nas, i byłby niezawodnie umknął w pobliski gąszcz, bo wszyscy byli tem zmartwychpowstaniem przerażeni, gdyby w tejże chwili dwa przygotowane na ten wypadek strzały życiu jego stanowczo końca nie położyły. „Tym razem święty Hubert miał swego ucznia w cudownej opiece — rzekł z poważnym humorem kanonik, lubo lica mu nieco pobladły, i potrząsał ręką — „coby się było z tą biedną ręką stało, gdyby ten łotr był ją w swe zęby pochwycił“. — Potem z radością zabrali się myśliwi i gońcy do południowego posiłku i odpoczynku. Rozniecono ogromne ognisko, wokoło niego rozstawiono na prędce zfabrykowane z kołów stołki, i wnet pojawił się ciągnąc z zamku wołami zaprzężony wóz dobrze naładowany żywnością. Piekły się już w żarze kartofle, na ogromnym na ziemi rozścielonym obrusie rozłożono potężne szynki dzicze i świńskie, starannie w dymie wychodzącym z drzewa jałowcowego wędzone, różne inne zimne pieczyste, masło, bochenki chleba, ser. Dwa kosze białego i czerwonego wina miały ułatwić szybkie trawienie. Gdy już na dobre wzięliśmy się do spożywania darów Bożych, rozległ się w lesie odgłos trąbki, na który generał, nie wyjaśniając powodu, z uśmiechem zaraz odpowiedział. Wnet dał się słyszeć tentent głuchy dwóch galopujących koni, i naraz pojawiła się na dróżynie leśnej baronowa K. w towarzystwie jednego stangreta. Pani ta siedziała na srebrzystym, pięknym mule, w niebieskiej, futerkiem obłożonej amazonce, z srebrnym rogiem u boku, w czarnym kapelusiku z niebieską zasłoną, powiewającym białym pióropuszem, z zarumienioną twarzą. Wynurzyła się ona z dzikiej, górskiej przyrody jakoby jakieś cudowne zjawisko. Radośnie wybiegliśmy przeciw niej, i jeden okrzyk zachwycenia dał się słyszeć. Baronowa zarumieniła się jeszcze bardziej w skutek tego okazanego hołdu jej piękności, pozwoliła małżonkowi zsadzić się z siodła, powitała nas uprzejmie i objawiła życzenie wzięcia udziału w tej uczcie myśliwskiej, gdyż oczekiwanie w starym zamku stało się dla niej przykrem. Wnet z rozścielonych plaidów urządzono wygodne siedzenie dla tej bogini Wogezów, i zabrano się do dalszego krzepienia sił z tem większą uciechą, iż podniecała humor i apetyt obecność pięknej, ożywionej i towarzyskiej damy.

Jak w ogóle w życiu, tak też na łowach praca poranna jest najskuteczniejszą. Po południu już zwykło znika ów wytężony nastrój duszy, który nas do największych wysileń gotowych czyni, a zjawia się znużenie, łaknienie odpoczynku i wygódek, których przedtem chętnie sobie odmawialiśmy. To też popołudniowe mioty nie odpowiadały co do rezultatów wcale porannym zwłaszcza, że nie chcąc się zbyt od domu oddalać, opuściliśmy wyżyny, i zwrócili ku nizinom. Zrazu zdawało się również po południu szczęście sprzyjać, gdy zaraz w pierwszym miocie padła młoda wilczyca, zapewne przepłoszona córeczka poległych rodziców, ale potem nastąpił nader nużący a bezskuteczny miot. Wszyscy bez wyjątku byliśmy strudzeni, słońce zimowe pochylało się już znacznie i upominało do odwrotu. Jeszcze gąszcz osikowy tylko miał nas zająć. „Uwieńcz, czysta Diano, która bladem światłem olśniona na wieczornem niebie swój pochód odbywasz, takim skutkiem koniec łowów, jakim początek obdarzyłaś“, — modliłem się, jakoż wysłuchała bogini mej prośby, lubo w inny zupełnie sposób, jakto miałem na myśli. Wnet po rozpoczęciu gonu ujrzałem skradające się ku mnie gąszczem zwierzę jakieś, które uważałem w oddaleniu za młodego wilka. Zbliżyło się ono zwolna ku staremu dębowi, który w odległości może 50 kroków grube swe konary po nad małą halawką rozkładał, i znikło mi z oczów chroniąc się poza potężny pień. Z bijącem sercem wyczekiwałem pojawienia się jego z uzasadnioną nadzieją, że będę mógł powitać je dobrze wymierzonym strzałem na czystem, gdy przedtem w gąszczu niepodobna mi tego było uczynić. Gońcy coraz bardziej się zbliżali, przeszli koło dęba, i wyszli wreszcie z gąszczu, a nie padł żaden strzał na całej linii myśliwych. Należało rzecz zbadać, zwierzę przecież nie mogło w powietrzu zniknąć, udałem się przeto do pnia dębowego. Wcale nie był wydrążony, jakem z początku myślał i spodziewał się znaleść wilka w dziuple, nie było też w koło niego najmniejszego tropu zwierzyny. Wpadło mi więc na myśl, czy owym mniemanym młodym wilkiem nie był raczej kot dziki, który schronił się na drzewo, począłem przeto okrążać i bystro w niem się rozpatrywać. Próżna praca. Już miałem zniechęcony zaprzestać rozpatrywania i udać się za głosem trąbki, która zwoływała myśliwych i gońców, gdy jeden z ostatnich, który nieco przyzostał, spostrzegł moją czynność, i zapytał, co też szukam na drzewie. Objawiłem mu moje domniemywanie, a chłopak natychmiast rozpoczął przeszukiwanie okiem. Czy wzrok jego był bystrzejszy, czy też przypadek mu pomógł, wykrzyk głośny: „*voila le chat*“, przywołał mnie do niego. Na grubym konarze dębowym, tak płasko rozciągnięty, iż zaledwo można było korpus od gałęzi oddzielić, leżał żbik, wcisnął łeb w kąt, który tworzyły dwie mniejsze zchodzące się z sobą gałęzie, i rozpatrywał się uważnie w każdem z naszych poruszeń. Strzał wymierzony w mało widoczny korpus zdawał mi się być niedostatecznym, a wtedy nie było żartów z zranionym kotem, postanowiłem przeto mierzyć w głowę. Padł strzał, kora i gałązki posypały się, kot podskoczył w górę, usiłował zatrzymać się pazurami na gałęzi, ale zabrakło mu sił i padł jako martwa massa na pięć kroków przedemną. Owe miauczenie, pryskanie, sykanie, owe oznaki szalonej wściekłości, z jakiemi rozdzierał ziemię i wgryzał się w liście, nakazywały mi stać w oddaleniu. Dobrą minutę trwała walka śmiertelna, wreszcie wszystko ucichło, raz jeszcze usiłował się podźwignąć, gdy goniec ku niemu się zbliżył, ale już nie miał sił, wyciągnął się i zakończył życie. Był to piękny, zimową suknią ubrany kocur wagi $7^1/_2$ kilogr. Mój późny strzał uważano jako sygnał zabłąkania, liczne odgłosy trąbek wskazały mi przeto miejsce, gdzie się myśliwstwo zebrało. Gdym wraz z gońcem niosącym na plecach żbika, przybył na miejsce zboru, powitano nas radośnio. Ów dodatek do dzisiejszych tryumfów był tak niespodziewany, iż z podwójnym zapałem go przyjęto. Ogłoszono mnie jako bohatera dnia, ponieważ sędziwego wilka i ogromnego kocura zabiłem, a baronowa K., która wzięła udział w popołudniowem polowaniu, zatknęła własną ręką w kapelusz mój gałązkę sosnową. Dawno już opadły igły z tej gałązki, zasuszoną szypułkę przechowuję jako relikwię w zbiorze moich pamiątek.

Śród żartów, gawędki i wspomnień dnia ubiegłego przebyliśmy długą dosyć, stromo spuszczającą się drogę do zamku. Nakoniec, gdy już gwiazdy licznie na niebie zajaśniały, stanęliśmy na miejscu i wstąpiliśmy przy odgłosie trąb i okrzyków hura! w bramę, oświeconą smolnemi łuczywami, a następnie udaliśmy się do koszar myśliwskich w celu przebrania się do obiadu. Mamże opisywać ponętną woń i powaby bogato wykwintnemi i smacznemi potrawami zastawionego stołu, zwłaszcza po całodniowych trudach polowania w górach? Obawiał-

*

bym się ściągnąć na siebie miano epikurejczyka, na które już może zasłużyłem zatrzymując się dłużej przy opisie tego przedmiotu. Cokolwiekby jednak o mnie mniemano, przyznaję, że tego rodzaju rozkosze nie są mi obojętne.

Tak więc polowanie na wilki już było prawie zakończone. Mój przyjaciel B. i ja mieliśmy zamiar pozostać jeszcze dzień jeden w owym gościnnym domu, ale inni Panowie już przy obiedzie zapowiedzieli, że nazajutrz odjadą. W skutek jednak zarządzeń naszego szanownego gospodarza zaszły nazajutrz okoliczności, które zaledwo nasyconą naszą namiętność myśliwską na nowo obudziły, i wszystkie inne plany popsuły. Po tylu przebytych trudach łowieckich, po obfitych libacyach przy wieczerzy, nie jeden z nas obudziwszy się na drugi dzień, czuł się strudzonym, okazywał twarz zasępioną, i myślał o powrocie do domu i wypoczynku, toteż rozmowa nie była ożywioną w koszarach, a gdyśmy się zebrali na śniadanie w sali, w której nas już rodzina gospodarza domu oczekiwała, to ani obecność powabnej damy, ani dobroduszne żarciki sędziwego barona, na którym trudy wczorajsze nie zdawały się pozostawić śladów, nie mogły nas weselej nastroić. Na lekko świeżym śniegiem przyprószonym dziedzińcu pokazały się już niektóre ekwipaże, a ich właściciele przystąpili z pożegnaniem do gospodarzów domu, którzy naprożno wysilali wymowę swoją w celu zatrzymania ich, gdy nagle zapukano raźnie do drzwi sali. Wszedł z rozgrzanem od zmęczenia obliczem leśniczy generała i doniósł, że w skutek danego mu polecenia objechał ze świtem na ponowie w pewnym miocie ogromnego odyńca, którego generał już od lat czterech bezskutecznie tropił. „No teraz moi Panowie, o odjeździe nie ma mowy — zawołał baron z rozpromienionem okiem. — Kto prawdziwym jest myśliwym, ten nie opuści sposobności spotkania się z najpotężniejszym i najgroźniejszym odyńcem Wogezów. Przed czterma laty pojawił się tu ów potwór, i od tego czasu uważałem za obowiązek honoru zabić go, ale usiłowania moje nie były uwieńczone pomyślnym skutkiem. Kule odbijają się o twardą szczeć, najlepsze psy moje ten łotr albo pomordował lub srodze pokaleczył, a na mnie dwa razy tak groźnie natarł, że jedynie moim dzielnym psom zawdzięczam życie. Owa bestya albo jest zaczarowana, albo samym diabłem w własnej osobie, cieszę się więc, że mamy w gronie naszem pobożnego kanonika, który zdejmie z niej owe czary". — Skutek tej przemowy był rozmaity. Młodzi przygarnęli się natychmiast do generała, wielu zaś ze starszych usprawiedliwiało się koniecznością powrotu do domu, a podprefekt strasburgski stanowczo oświadczył, iż z powodu ważnych spraw urzędowych odjechać musi. Nie żałowaliśmy ubytku owego nadętego urzędnika, może obawiał się narazić swej dostojnej osoby wobec potężnych kłów potwora, innych zdołaliśmy namówić, i obudzić w nich przytłumioną znużeniem namiętność myśliwską. Na szczęście droga do objechanego miotu była wcale niezłą, mogliśmy przeto oszczędzić nasze strudzone kości, — a więc w drogę! Ruszyliśmy i w półtory godziny stanęli na miejscu. Nabiwszy broń kulami wnet byliśmy na stanowiskach. Tym razem nie było nagónki, ale czterech leśników wiodło podrączkowanych ośm psów, pięknych, silnych i żwawych, które Francuzi nazywają: *„levriers à sangliers,"* pochodzących zapewne z krzyżowania angielskich doggów z chartami. Leśnicy z psami poszli w najgłębsze partye młodej sośniny, my zaś zajęliśmy na przeciwnej stronie najlepsze przesmyki. Już pewnie dawno psy puszczono, a jednak żaden ich głos się nie odezwał. Śród długiego oczekiwania sądziłem, że odyniec przed naszem przybyciem opuścił miot, gdy naraz zabrzmiało w głębi miotu ponure, zjadliwe naszczekiwanie jednego psa. Zwierz zdawał się lekceważyć nieprzyjaciela, bo głos odzywał się ciągle na jednem miejscu. Ale oto przybywa psu pomoc jednego, a wnet drugiego towarzysza, gra wszczyna się coraz głośniejsza, a odyniec widocznie zmuszonym był do opuszczenia barłogu i do obrony. Gon szedł zwolna ku górze, i zbliżał się do górnych strzelców, i już cała złaja atakowała zwierzę. Niedaleko mego stanowiska przeszła ta muzyka, sośnina łamała się i szumiała, psy szczekały i wyły, a niekiedy odezwało się mrukliwe rechtanie odyńca, ale gruby gąszcz zasłaniał mi ścianą ów zachwycający obraz. Generał, najbliższy mój sąsiad, stał z wytężoną w miot uwagą, gdy piekielna wrzawa ku niemu się zbliżyła, wtem podniósł strzelbę, wymierzył chwilkę i strzelił. Głośniejszy gon złai był odpowiedzią na ów strzał, poczem nastąpiły przenikliwe jęki jednego psa, który zagrzany wystrzałem, nieprzezornie rzucił się na odyńca, który po chwili poszedł wraz z psami znowu ku dolinie. Widziałem, jak generał poszedł na miejsce strzału, starannie się rozpatrywał, wreszcie głębiej zanurzył się w miot, i na ramionach wyniósł psa. Przyskoczyłem mu w pomoc. Biedne stworzenie miało brzuch rozpłatany tak, że wnętrzności wychodziły, jęki jego wprawdzie ucichły, lecz gdyśmy je lekko na ziemi złożyli, patrzyło na nas posępnie i żałośnie, a słabe poruszenie ogonem objawiało wdzięczność za nasze starania. Jeden z leśników, słynny jako chirurg psi, wsunął lekko jelita, zeszył skórę, obmył ranę wodą gulardową i zaniósł ostrożnie biedne zwierzę na wóz, gdzie je dobrze przykryto. „A co? nie jestże ów potwór szatanem wcielonym, — rzekł do mnie generał — najlepszych ośm psów nie mogą go ostanowić, a kulę moją poniósł w sobie, jak gdyby to był groszek. Patrz Pan na strzał, zaledwo nieco farbuje, tylko trochę szczeciny pozostawił, — ale oto, słuchaj Pan, znowu go psy trzymają. Może też kula przecież dostała się do szlachetniejszych części jego ścierwa, i odejmuje mu siły, jeżeli masz Pan ochotę i odwagę, to pójdźmy za nim, i połóżmy tego łotra przed psami". Ta appelacya do mojego męstwa nie mogła być nieprzyjętą, lubo niebezpieczeństwo było wielkie, w gąszczu bowiem nie łatwo było w potrzebie szybko się zmierzyć. Mimo tego bez wahania przyjąłem propozycyę, więc też obaj zaraz ruszyliśmy ku głosowi psów, który nas ciągle z jednego miejsca dochodził. Ja młody i szczupły z łatwością darłem się przez gęstwinę, ale generał herkulicznej postawy i tuszy znacznie trudniej, więc też wyprzedziłem go nieco. Ostrożnie, z bijącem sercem przybliżałem się ku miejscu walki, i wnet spostrzegłem pełen uroku, ale przerażający obraz. Olbrzymie zwierzę było na nieco odsłonionej części lasu przez psy osaczone. Oparte twardo zadem o gruby gąszcz, aby się zabezpieczyć od napaści z tyłu, siedziało, a z prawej strony spływały po czarnej szczeci krople farby jako dowód, że kula generała celnie uderzyła. Najeżona szczeć grzbietu czyniła rozmiary jego jeszcze bardziej olbrzymimi, cztery białe, wygięte kły połyskiwały straszliwie z czarnej paszczy, i od chwili do chwili kłapały z wściekłością, piana sączyła się, a małe, krwią nabiegłe oczy błyszczały dziko i zażarcie, i ostro śledziły wszelkie ruchy zaciekle szczekających psów, aby odeprzeć zwycięzko każde ich natarcie. Już drugi pies poległ z szeroką raną w boku, zaledwo oddychając. Przysunąłem się na odległość kilku kroków od tej strasznej sceny, niespostrzeżony przez odyńca, którego cała uwaga zwróconą była na psy, a który z powodu piekielnej wrzawy nie mógł zachwycić uchem lekkiego szmeru w gąszczu. Wymierzyłem między ślepie, głowa bowiem była jedynym punktem, w który mogłem mierzyć bez obawy trafienia rojących się w koło psów,

ale gdym już palcem dotykał cyngla, spostrzegłem, że nagły zwrot głowy odyńca ochroni go od strzału. Skierowałem wprawdzie lufy za owym zwrotem, ale niestety za późno, zamiast trafić w skroń, szargnęła kula mimo czaszki i wyrwała kawał skóry. Zanim mogłem drugim strzałem poprawić, mknął potwór jak grom w gąszcz ku mnie, i uczułem straszliwe uderzenie w prawą nogę, które mnie nawznak powaliło, i widziałem, jak psy przezemnie przeskakiwały. Gdym się z trudem podźwignął, złaja korzystając z szczęśliwej zmiany pozycyi odyńca, natarła nań z tyłu i znowu go osaczyła. Dwa psy wisiały mu u uszów i zmuszały do trzymania głowy podniesionej w górę, trzy wżarły się ostrymi zębami w szynki, a jeden w prawą wargę. Oddalony zaledwo o pięć kroków, pochwyciłem z ziemi broń, przywlokłem się utykając jeszcze bliżej, przyłożyłem lufę do ciała potworu pod lewą łopatkę, i byłbym wystrzelił, gdyby mnie nie był powstrzymał generał, który trzymając w jednej ręce strzelbę, w drugiej kordelas, pojawił się na placu walki i wołał ku mnie: „Proszę pana nie strzelaj, cztery lata radowałem się nadzieją owej chwili, w której będę mógł tego szatana według wszelkich prawideł łowieckich na drugi świat wysłać“. Poczem zbliżył się ku lewej stronie zwierza, i byłby niezawodnie zadał odyńcowi cios śmiertelny, gdyby tenże, przerażony głosem ludzkim, z wielkiem wysileniem nie uwolnił się od napaści psów. Potrząsł potężnym łbem tak gwałtownie, że psy zdala od niego odpadły, miotanie głową i wyrzucanie ziemi tylnemi raciami tak było straszliwe, że my nawet musieliśmy na kilka kroków odskoczyć. Jeszcze raz wyrzucił troje psów w gąszcz, i byłby niezawodnie znowu umknął, gdybyśmy korzystając z chwili, w której psy odyńca wcale nie atakowały, z odległości trzech kroków nie posłali mu strzałów. Potwór padł na przednie łapy, dźwignął się wszakże, i uszedł w gąszcz. Z wściekłością rzuciły się za nim psy. „Więc jeszcze nie zginął — rzekł generał podnosząc z ziemi kordelas, — ale w kilku minutach będzie trupem, bo tych trzech ostatnich pigułek żołądek jego nie strawi“. — Teraz dopiero po uspokojeniu się, opatrzyłem moją nogę, i znalazłem tylko ślady stłuczenia. Stało się, jak generał przepowiedział. Wnet osaczony na nowo zwierz bronił się chwilę z niesłychaną brawurą, ale wtem nastąpiło zalanie naczyń krwią, i nagle runął martwy na ziemię. Trąbka barona zwołała leśników, którzy z niemałym trudem wywlekli z gąszczu tego olbrzyma, i złożyli na wóz. I oto leżał potężny kolos, uwieńczony gałązkami sosnowemi, jakby bohater na paradnym łożu, otoczony i podziwiany przez wszystkich myśliwych, którym musieliśmy szczegółowo opowiadać chwile jego zgonu. Był to najtęższy dzik, jakiego kiedykolwiek w Wogezach zabito, ważył bowiem 210 kilogramów.

Takim tedy ostatecznym sukcesem uwieńczone było urządzone przez generała polowanie na wilki, a ja jeszcze trzy błogie dni przeżyłem w gościnnym zamku, nim moja zbolała noga pozwoliła mi pomyśleć o powrocie do domu.

Tłum. J. L.

KRONIKA.

✝

Towarzystwo łowieckie poniosło nową, a dotkliwą stratę. Dnia 18 Września pożegnał nas na zawsze **Włodzimierz Zaremba Cielecki**. Nie potrzebujemy przypominać go pamięci ogółu. Znanym on był i wielce cenionym jako najzacniejszy obywatel kraju. Jako zięć dobrze zasłużonego ś. p. hr. Piotra Moszyńskiego, był on spadkobiercą jego cnót. Gorąco pojmując swoje obowiązki, gotów był zawsze do usług i ofiar.

Cześć jego pamięci.

---

*) Towarzystwo rybackie odbędzie swe 5 Walne zgromadzenie w Krakowie d. 1 Października 1882 o godzinie 3 po południu w sali Muzeum techniczno-przemysłowego, i zaprasza na nie swych członków.

Porządek dzienny:

a) Zagajenie przewodniczącego.
b) Sprawozdanie ze stanu i czynności Tow. za rok ubiegły.
c) Sprawozdanie kasowe za czas od 1 Stycznia 1882 do 1 Października 1882.
d) Wybór prezesa, wice-prezesa i 6 członków zarządu.
f) Uchwalenie budżetu na r. 1883.
g) Wnioski zarządu i członków.

Odbieramy następną korespondencyę: „Jako wydawca Kalendarza myśliwskiego, którego egzemplarz jako okaz do aktów załączyć się ośmielam, udaję się z uprzejmą prośbą o łaskawe podanie Redakcyi Kalendarza myśliwskiego (na moje ręce), w celu umieszczenia w roczniku 1883 pod rubryką: wiadomości o towarzystwach myśliwskich, statystyczne daty szanownego Towarzystwa, mianowicie: *Kiedy Towarzystwo założono i na jakich warunkach, spis imienny członków, odbyte polowania w roku 1882, ważniejsze zdarzenia na onych, obszar polowania należący do Towarzystwa i t. d.* Ponieważ Kalendarz myśliwski cieszy się dość znaczną wziętością, przeto byłby najgłówniejszy cel tych wiadomości t. j. obznajmienie się ze wszystkiemi Towarzystwami myśliwskiemi i ich szczytnemi celami nie tylko wzajemnie ale i dla szerszego koła myśliwych w zupełności osiągnięty (!). Na tej podstawie pozwalam sobie prośbę powyższą przedłożyć łaskawemu jak najrychlejszemu uwzględnieniu, albowiem czas wydawnictwa nagli. Gdyby sz. Towarzystwo, lub który z sz. członków. mieli zamiar oddzielnie podać jaką korespondencyę tyczącą się myśliwstwa lub też jakie uwagi, to mogę oświadczyć, że takowe z wdzięcznością przyjęte będą. Przy sposobności pozwalam sobie zapytanie, czyby sz. Towarzystwo nie raczyło zamówić dla członków Kalendarz myśliwski na r. 1883?

W Jarosławiu, 19 Sierpnia 1882. *H. Bohuss.*

List ów odebraliśmy tak późno, iż nie mógł być umieszczonym wraz z odpowiedzią naszą w wrześniowym numerze „Łowca“.

List ten przejmuje nas niemałem zdziwieniem, które niezawodnie udzieli się naszym czytelnikom. Jest on dowodem, iż sz. Redakcya Kalendarza myśliwskiego nie wiele się troszczy o łowiectwo krajowe. Wszakże z całą naiwnością zapytuje nas, na „jakich warunkach założono Towarzystwo, uprasza o sprawozdanie z odbytych polowań, i ważniejszych tychże zdarzeń, z obszaru polowania, należącego do Towarzystwa“ i t. d. Widocznie nieznane są sz. Redakcyi Kalendarza Statuta galic. Towarzystwa łowieckiego, jego cele, działanie w kraju, nieznany jej wcale organ tegoż Towarzystwa „Łowiec“, który pełnych już niemal pięć lat szerzy w kraju naukową i praktyczną wiedzę, i strzeże starannie celów i dążeń, do których Towarzystwo zmierza. Nam znany dokładnie Kalendarz myśliwski z dwóch lat, umieściliśmy w 1ym numerze „Łowca“ z ubiegłego roku krótką ocenę tego Kalendarza z pierwszego roku. W obu roczni-

---

*) Z powodu tego ogłoszenia rozsyłamy Numer 10ty „Łowca“ znacznie wcześniej.

kach nie znaleźliśmy nawet wzmianki o gal. Towarzystwie łowieckiem i jego Piśmie, i nie umieliśmy usprawiedliwić tego milczenia. dziś ono się nam w liście, który odbieramy, wyjaśnia. Wszakże sz. Redakcya Kalendarza zajmuje się specyalnie sprawami łowiectwa krajowego, jakimże sposobem może dotąd nie wiedzieć o siedmioletniem istnieniu Towarzystwa łowieckiego, które się zawiązało nie dla polowania, lecz dla kierowania sprawami łowieckiemi w kraju, jakim cudem nie wpadł jej do ręki, choćby przypadkiem, w przeciągu lat pięciu jakiś numer „Łowca“? To dla nas zagadka!

Na uprzejmy list sz. Redakcyi Kalendarza nie odpowiadamy, bo rościmy sobie słuszne prawo wymagania, aby czyto pojedyncze osoby, czy też całe grona, zajmujące się sprawami łowiectwa krajowego, czerpały informacyę o nas z drukowanych Statutów Towarzystwa i również drukowanego i szeroko rozchodzącego się po kraju Organu jego. Tą wskazówką raczy się szan. Redakcya Kalendarza zadowolić i przyjąć od nas życzliwą radę, by odtąd na podstawie dokładnej znajomości naszego działania z nami się porozumiewała, wtedy z całą gorliwością życzeniom jej odpowiemy.

Hr. Artur Potocki zabił w majątku swoim Staszowie w Lubelskiem w trzech dniach sierpniowych 36 kozłów na podjeździe i 426 kuropatw. Można ztąd wnosić o bogactwie zwierzostanu. W Krzeszowicach pod Krakowem ma hr. Artur Potocki takie mnóstwo zajęcy, jakie chyba w Czechach znaleść można.

Z nad Sołokii. Wrzesień.

Pan Ubysz w nader zajmującej swojej pracy: „Na bełzkich błotach“, wyraża powątpiewanie, ażali owe pamiętne dla niego błota dotąd istnieją? Miło mi przesłać mu odpowiedź, iż jakkolwiek sławne moczary bełzkie dla celów utilitarnych znacznie są osuszone, to jednak jeszcze, zwłaszcza po tegorocznych słotach, wcale imponującą zajmują przestrzeń. Od Staj począwszy, koło Ostobuża, Woronowa, Tehlowa, Prusinowa, po Bełz i Witkow, niskie te i podmokłe łąki w skutek nieustannych deszczów, zalane jak ongi w czasach wypraw pana Ubysza wodami Sołokii, czyniły wrażenie olbrzymiego jeziora szczególnie tam, gdzie one porośnięte trawą. Miejscowości zasłane tatarakami, szuwarami, trzciną i rogożami, wyglądały zdala jakby ogromne ostrowy. W jednym punkcie około Tehlowa dostrzegłem niby półwyspę, z trzech stron wodą oblaną, może to owa Wysoka ostrowa, o której nam pan Ubysz tyle ciekawych szczegółów opowiedział, a której nazwa już się w pamięci zaciera. Tak to giną dawne tradycye — inne czasy, inni ludzie! Przed słotami mnóstwo było na moczarach bełzkich błotnego ptactwa, nie mała też liczba dzikich gęsi, kaczek i żórawi. Pierwsze i ostatnie wyniosły się podczas zalewu na sąsiednie orne pola. Gdzie przedtem strzelałem do kuropatw, tam teraz biję bekasy. W przeszłym miesiącu pisarz ekonomiczny podkradając się owsem zabił w czterech dniach 5 młodych żórawi, żerujących wraz ze starymi na mocno wylęgłym grochu. Kaczek i gęsi było wiele, a nawet widziano dwa małe stadka dużych białych ptaków, pływających na czystej wodzie. Z powodu oddalenia nie można było ich rozpoznać, jedni uważali je za łabędzie, inni za pelikany (baby). I jedno i drugie możliwe, wszakże przed kilku laty zabił braciszek zakonu OO. Bernardynów w Sokalu pelikana i przesłał go podobno do Muzeum im Dzieduszyckich. W roku 1877 strzelałem na tych błotach do jednego z przeciągających nad głową moją trzech łabędzi, niestety bezskutecznie, bo śrótem kaczym, a lubo pierze się posypało, ptak ów twardy uszedł. Wody znacznie już opadły, więc błotne ptactwo powróciło na swe zwykłe siedziby, a wodne swobodnie pluszcze się po licznych jeziorach, które zapewne w tym roku już nie wyschną. *A.*

„Łąka, mąka, ryby, grzyby“ mawiano dawniej chcąc określić bogactwo pewnej miejscowości lub okolicy. Jako gość zawitawszy w nadbużańskie strony, istne międzyrzecze, bo rzekami Bugiem i Pełtwią oblane, dodałbym wraz z Polem: „i po lasach huk zwierzyny“. W lasach Buskich i Radziechowskich, olbrzymim wieńcem otaczających ową połać naszego kraju, szczególnie w Buskich, rozmnożyła umiejętność i sprężystość p. nadleśniczego stan zwierzyny tak skrzydlatej, jakoteż czworonożnej do liczby zadziwiającej. Wybrawszy się na włóczęgę po borze, niezbyt daleko zaciekając się w knieje, widziałem dwa stada sarn, jedno składało się z siedmiu sztuk, drugiego zaś niezdołałem policzyć. Według opowiadania wieśniaków, osiadłych w chatach rzadko pod lasem porozrzucanych, ma ich być wiele. Wnętrze tych lasów pełne jezior, na których kaczek taka ogromna ilość, o jakiej chyba tradycya głosi. Polują tam na nie z nagónką w sposób poleski, a lasy te istotnie właściwością swoją przypominają bardzo poleskie bory, to samo tam płaskie, zapadłe ich położenie, pełne wód i moczarów, obrośniętych przeważnie olszyną, osiczyną, iwiną i łoziną. Patrząc na nie mimowolnie nasuwa się myśl, z jakiej przyczyny wspaniały łoś tu nie zamieszkał, wszak lasy te niczem się nie różnią od stałej ich siedziby, łączą się one nieprzerwanem pasmem z sąsiednimi na ogromnej przestrzeni, umiejętne kierownictwo gospodarstwa lasowego zapewnia zwierzynie, jakby w niezmiernej puszczy, spokój, ciszę i pożywienie odpowiednie. A były one tam niezawodnie dawniej, bardzo dawno przed wiekami, czego dowodem czaszka łosia, znaleziona przy zakładaniu fundamentów pod nowy gmach Namiestnictwa we Lwowie. Według twierdzenia naszych przyrodników połać kraju, o której wspominam, jest wstępną częścia Polesia. Na rozległych trzcinami porosłych jeziorach, pełnych kaczek i różnorodnego wodnego i błotnego ptactwa może dawniej bywały osady bobrowe, bo miejscowość ta jakby stworzona do chowu bobrów, a chów taki pewnieby się sowicie wypłacił.

Gawin.

Itzkany (Bukowina). Sierpień.

Z gazet wiadomo mi, że u was nieustanne słoty, u nas przeciwnie najpiękniejsza pogoda. Zbiory zbóż, z wyjątkiem kukurudzy, najzupełniej skończone. Okolica nasza bezleśna, więc obszerne łany kukurudzy, zastępują nam lasy pod względem łowiectwa, pełno w nich bowiem zajęcy i dropi, które o tej porze zwykły stadami przyciągać z sąsiedniej Mołdo-Wołoszy, noszącej dziś pompatyczną nazwę królestwa rumuńskiego. Dropie nie lęgną się w tej stronie Bukowiny, w której mieszkam, jako więcej zaludnionej, bo ptak ten lubi spokój i miejsce równe, a u nas więcej wzgórzysto. Skoro w sąsiedniej Rumunii sprzątną z pól zboża kłosowe, wyruszają wszyscy bądź pojedyńczo, bądź obławą, dniem i nocą przeciw wielkim szkodnikom — psom, nie pomnąc, iż obława więcej obłamywaniem uczyni szkody, jak pies objadaniem kaczanów kukurudzianych. Łączą się psy o tej porze w wielkie gromady, i wyruszają w pola w celu pożerania kaczanów, kiedy one jeszcze niezupełnie dojrzałe, gdy ziarna jeszcze w mleczku smaczne i pożywne. Rumuni w ogóle mało mają w sobie łowieckiego ducha, ale na takie łowy chętnie wyruszają tłukąc kundle kijami lub ubijając je ze strzelb. Każdy gospodarz buduje sobie przy swojej niwie budę, przesiaduje w niej dniem i nocą, krzykiem i częstymi strzałami odstrasza psy od swej kukurudzy, ale też wystrasza wszelką zwierzynę, jaka się w okolicy znajduje. Wszędzie jest kukurudza, więc wrzawa i kanonada rozbrzmiewa po całym niemal kraju w dzień i w nocy. Po wsiach psy o tej porze poznikały, wszystkie w kukurudzy. Zające albo umykają do spokojniejszej Bukowiny, lub grzebią kotliny po ścierniach i łąkach, których w Rumunii niewiele Dropie ulatują spiesznie do nas, gdzie też polujemy nie na podchodnego jak w Besarabii, na Ukrainie, Podolu, lub na Węgrzech w Banacie. Dobry to sposób, ale tylko tam, gdzie czystość i otwartość łanów lub stepów, brak naturalnej osłony zmusza myśliwych do wynajdywania sposobów zbliżenia się do tego nader ostrożnego ptaka. My polujemy inaczej. Kilku lub kilkunastu myśliwych, uzbrojonych w dubeltówki, nabite lotkami lub kulami, wyrusza około północy ku polom kukurudzianym. — W nocy zajmują stanowiska, bo dropie nocując z przezorności na czystem polu, poczynają ze świtem ciągnąć ku łanom kukurudzianym na żer. Myśliwi ukryci śród bujnych łodyg śledzą wokoło widnokrąg. Spostrzegłszy ciągnące stado czekają zbliżenia się jego, a przelatuje ono kilka razy ponad łanem, zanim zapadnie. Od szczęścia zawisło powodzenie myśliwego. Gdy stado przeciągnie blisko i niezbyt wysoko, strzela, ale po strzale z miejsca się nie rusza i zachowuje się spokojnie, strzał bowiem nie płoszy dropia, lecz widok człowieka. Czy strzał był trafny lub chybiony, dropie nie przestają krążyć ponad przestrzenią, którą sobie za żerowisko obrały, i wystawiają się na strzały. Tym sposobem można kilka, a nawet kilkanaście dropi ubić. Bardzo to szczęśliwy wypadek, gdy na pierwszy strzał padnie stary jendor, czyli jak go niektórzy myśliwi nazywają *tłuk*, a to dla tego, że stary samiec nie gulgoce, lecz odzywa się zawsze trzykrotnie *tłuk*, *tłuk*, *tłuk!* W takim razie stado się mięsza, nie wie, co z sobą zrobić, przelatuje nieustannie szukając swego wodza sądząc, że zapadł w kukurudzę. Zdarza się, że za spadającym jendorem, nigdy z powodu twardego życia na śmierć nie ubitym, zapada całe stado jako na żerowisko. Do takich łowów dobry wyżeł jest niezbędnym, zdala poza linią operacyjną w odwodzie trzymany, gdyż on wyszukuje ubitą zwierzynę, co przy bujności kukurudzy wcale nie jest rzeczą łatwą. Stado dropi, gdy je nic nie płoszy odziobuje od wczesnego poranku aż do zmroku kaczany, które podskakując od łodygi odłamuje, lub też przysiadłszy do ziemi na jednem miejscu pozostaje Na noc za-

wsze ulatują dropie w step lub czyste pole. Zające bijemy przed wyżłem, psem gończym lub nagónką, tak jak wy w kniei leśnej. Stan zwierzyny w mojej okolicy niezły. Są i sarny lecz tylko w lasach rządowych, gdzie ład i porządek. O lasach prywatnych jak biskup Kracicki o ryczywole, raczej milczyć wolę. Sarny chętnie wychodzą na żer w kukurudzę, niezapuszczając się jednak zbyt daleko. Błotnego ptactwa, szczególnie o tej porze zwykle niewiele. Moczarów i błot mała przestrzeń. W tym roku kszyków i dubeltów mniej, bo posucha, zapewne pociągnęły w lepsze strony. Czekamy z upragnieniem Października, a nawet w Listopadzie miewamy błotnej zwierzyny mnóstwo. Skoro się rozpocznie wędrówka tego ptactwa, okolica nasza nadrzeczna i błotna, jako odwieczna stacya odpoczynku, roi się owem ptactwem, kto tylko choćby trochę myśliwy, chwyta za pukawkę! *N.*

Niedźwiedź na strażnicy. Przed laty dzierżawił M..... wieś W., położoną przy samym Bieszczadzie. Był to człowiek ubogi w ziemskie dostatki, ale zato bogaty błogosławieństwem w dzieciach, których miał dwanaścioro, wieku odstępem najwyżej dwuletnim się różniących. Był on skrzętnym i pracowitym gospodarzem, a przytem zapalonym myśliwym. W jednej z częstych łowieckich wycieczek udało mu się zabić starą niedźwiedzicę i zchwytać żywcem kilkudniowego jej potomka. Malutki mysio, nader niedołężny, poszedł na mamki do domowej kozy, z którą nie mało było ambarasu, nim przywykła do swego wstrętnego jej na razie wychowanka. Później bardzo go kochała, a nieletni mysio odpłacał jej ową niemacoszą miłość również gorącem przywiązaniem. Ucieszny był to widok, gdy z wielką troskliwością biała jak śnieg koza karmiła i pielęgnowała niekształtnego kosmacza, było to zaiste niezwykłe zjawisko, a zarazem świadectwem siły przywyknienia i instynktu macierzyństwa u zwierząt. Gdym pierwszy raz widział owego niedźwiadka, był to dosyć spory piastun, już wtedy przybrana matka nie była z nim razem, on sypiał w ogromnej, czarnej od dymu, bo kurnej kuchni, mogącej mu przypominać skalną gawrę, gdzie na świat wyszedł, ona zaś umieszczoną była w oborze. Gdy nadeszła pora karmienia, otwierano drzwi zagrodzenia, a ona pędem spieszyła do swego wychowanka. „Pewnego razu — opowiadał mi p. M. — wypuszczono jak zwykle kozę która spiesznie pobiegła do mysia, kuchnia była nawciąż otwarta, ludzie byli przy robocie, ja tylko kręciłem się koło wołowni — wtem słyszę żałośne beczenie i łomot z koziej zagrody wychodzący, a miałem wtedy kóz około 40 sztuk. Nie wiedząc, co to znaczy, biegnę co tchu i widzę, iż jedne powskakiwały na drabiny, na żłoby, i tupią z całej siły nogami, co zwykle czynią pod wrażeniem przestrachu, reszta zaś zbita w małe gromadki beczy, w najciaśniejszy kąt się zapychając Ciemno było w stajni, więc oczy ich świecą jak światełka, rozglądam się w koło, ale nie łatwo było przybyłemu ze światła rozpatrzeć się na razie, po chwili dopiero spostrzegam, że stary brodaty cap tłucze nieustannie o tryzub drabiny, w środku stajni w kształcie żłoba umieszczony, w który się kozom lub owcom zakłada pasza, a obok koza — mamka bije rogami capa. Zrazu sądziłem, iż to jakieś drobne między niemi nieporozumienie, ale wykazało się co innego, broniła ona swego wychowanka, który z kuchni poszedł za swoją przybraną matką aż do chlewa, i tam narobił takiego popłochu. Od tej pory rozłączyłem ich, przez długi czas objawiali tęsknotę żywą za sobą, ona beczała jękliwie, on był ponury i uparty".

Zresztą z dziećmi i psami żył w przyjaźni i zażyłości, lubo nieraz z psami były zwady, wtedy bił je, ale względnie i delikatnie przedniemi łapami. Mysio dorósł już lat trzech, i hodowanie jego stało się ciężarem, bo było dosyć kosztowne. Wprawdzie żarł wszystko, ale nader wiele, żywił go właściciel osypką, chlebem, kartoflami, a gdy się zdarzyło padliną, ale to wszystko narażało go na znaczne koszta. Będąc raz na jarmarku w Homonnem, miasteczku węgierskiem, dowiedział się, że w menażeryi, bawiącej podówczas w Ungvárze, zginął niedźwiedź, postanowił tedy sprzedać jej swego, pozbyć się ciężaru i zrobić dobry interes. Wróciwszy do domu pakuje na wóz mysia, i wraz z synem puszcza się na ową spekulacyjną wyprawę. Mysio obłaskawiony spokojnie zachowywał się w drodze zwłaszcza, że upiętym był do półdrabka na mocnym łańcuchu, przytwierdzonym do obroży. Noc już była ciemna, gdy zdążyli do Ungváru. Zajechawszy do żydowskiego zajazdu (po węgiersku *vendeg fogado*, zgłodzeni, zostawiwszy mysia upiętego na wozie, poszli do miasta w celu pożywienia się. Gdy w najlepsze zajadają *paprikasz-slanina*, słoninę aż czerwoną od papryki, popijając cienkiem i kwaśnem, bo taniem winem, które mówiąc nawiasem nader liche po węgierskich miasteczkowych winiarniach (bór-háza), słyszą nagle ogromną wrzawę w przyległym szynku, a mianowicie przy wojskowej strażnicy. Pora późna, ludzie zaczynają się zbiegać, więc i p. M wraz z synem ciekawością pędzeni, spieszą w stronę tumultu, i słyszą głosy: ördög! ördög! (djabeł). Przed odwachem pełno ludzi, straż pod bronią, krzyk, hałas, dobosz co sił bije w bęben na alarm, w dali słychać pochód garnizonu, spieszącego na plac zboru, zjawia się major z adjutantem konno. Cóż się stało? Oficer komendant strażnicy zdaje raport, że coś czarnego mimo trzechkrotnego wołania szyldwacha: Halt! werda! obces wpadło do wnętrza strażnicy, a cała straż utrzymując, że to djabeł w całej swej okazałości, mimo doświadczonego męstwa, pierzchła przed tak groźnym wrogiem nietylko drzwiami, ale nawet oknami, o czem świadczyły wyrwane ramy i potłuczone szkło. Major każe patrolowi przeszukać strażnicę, weszło ośmiu ludzi z karabinami do ataku. Po chwili wraca patrol z uwiadomieniem, iż nic groźnego nie znalazł, więc chyba istotnie był to djabeł — did'ko, a załoga Ungwarska była podówczas złożona z jakiegoś pułku galicyjskiego. Tem bardziej utwierdziło się mniemanie o djable, że wpadając na strażnicę nie uląkł się strzału szyldwacha. Jaki to był strzał, wyjaśnię. Wypadek, który opisuję, wydarzył się r. 1844, w porze niczem nie zamąconego długiego spokoju, karabiny były wtedy z krzemieniem, nabijane jakby na żart. Nabój był taki; zszywano rzadkie płótno, najczęściej orgatynę w kształcie kiszeczki lub tutki cygaretowej, w nią wsypywało się prochu niespełna $^{3}/_{4}$ części zwykłego naboju, kulę wówczas okrągłą, później dopiero stożkową, zeskrobywano czyli zmniejszano i wsuwano z uwiązaną nitką do owej tutki. Taki nabój wpuszczano do lufy, dla pozoru tylko przybijając stemplem. Sposób taki nabijania był bardzo wygodnym, bo gdy trzeba było wyjąć nabój z karabina, dosyć było zwrócić go lufą na dół, a nabój wypadał. Władze wiedziały o tem, ale tolerowały. Ja sam proponowałem kapitanowi S. zakład, iż na 50 kroków pozwolę do siebie strzelić takim nabojem. — Major kazał garnizonowi nabić ostro karabiny, ale kapitanowie zwrócili uwagę jego, że wszystkie ostre naboje na mocy rozkazu pułkowego odstawiono do magazynu, o pół mili od miasta oddalonego. Trudna rada! Może to nie djabeł w własnej osobie, ale który z bandy rozbójników buszujących podówczas w okolicy. Wyprawił tedy major 20 ludzi z oficerem po naboje. Tymczasem dosyć czasu upłynęło, a mieszkańcy miasta drżeli pod wrażeniem różnorodnych coraz straszniejszych wiadomości i domysłów.

Dzierżawca M. z synem, nagapiwszy się i nasłuchawszy do woli wrócili do zajazdu. Jakież było ich zdziwienie, gdy nie znaleźli mysia na wozie, znikł pozostawiając tylko obrożę wraz z łańcuchem, umknął wysunąwszy łeb z obroży. Łatwym był domysł, że owym postrachem na strażnicy był ich niedźwiedź, obawiając się przeto odpowiedzialności, corychlej uciekli do domu. Przyniesione naboje rozdano żołnierzom i wnet ozwał się hałaśliwy stuk stempli. Przez całą noc stało wojsko przed strażnicą nadaremnie nie spotkawszy się z groźnym wrogiem. — Wreszcie brzask dzienny zajaśniał, rozwidniło się w oczach i duszach wojska i strwożonych mieszkańców, wykryto też strasznego wroga w postaci niedźwiedzia, siedzącego na dachu niewielkiego drewnianego domu, w którym się mieściła strażnica. Odkomenderowano ośmiu najlepszych strzelców, i ci wnet strzałami ściągnęli winowajcę do stóp swoich.

W Sanockiem żyją jeszcze ludzie pamiętający dobrze owe ucieszne zdarzenie, niech prawdziwość jego stwierdzą, abym w obec czytelników „Łowca" nie uchodził za zwolennika powieści Münchhausenowskich. *U.*

W Październiku pozwala Ustawa nasza strzelać do wszystkiego prócz łań, kóz, cieląt i szpiczaków, tudzież kur, głuszców i cietrzewi.

OGŁOSZENIA.

Zapraszamy sz. członków Towarzystwa łowieckiego na **Walne zgromadzenie** tegoż Towarzystwa, które się odbędzie w Październiku, podczas targu zbożowego. — Bliższe szczegóły oraz miejsce zebrania ogłosimy w Pismach krajowych.

Składając szczerą podziękę wszystkim łaskawym współpracownikom i korespondentom, upraszamy ich o dalszą pomoc dla „Łowca", bez której Pismo to pomyślnie rozwijać się i skutecznie działać nie może. Obok szerszych rozmiarów prac pożądane są dla nas drobne zapiski, sprawozdania z polowań, spostrzeżenia z trybu życia zwierząt łownych i t. d., które nie wymagając wiele trudu zapełnią z niemałą korzyścią dla czytelników szpalty Pisma naszego.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.